• Czy sądy w Polsce są łagodne? • Co można wywieźć za granicę? • Bernard Ładysz: Jeden nie pije i nie żyje, a drugi pije i śpiewa... • Wojenne dzieje lotników i maszyn LOT-u

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 21 (1312) ROK XXVI 21 MAJA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

PARYŻ W MAJU

Foto: Iwona Bartosik

7 FOTOREPORTAŻ

Foto: Mirosław Zajdler

Widziałem szczęśliwych cyrkowców

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Tak zwana loża urzędowa swoje plusy ma. Siedzi człowiek te dwa metry wyżej od innych, arenę lepiej widać i niektóre numery na niej wykonywane także. Z artystami jakby więź bliższa a i uśmiechów więcej z manežu w tę stronę się kieruje.

Ale nic za darmo. Niska barierka sprawia, że zręczność małpy mieć trzeba by w dół nie fiknąć wraz z pociechą, clown zawsze w tę stronę ciska odważnikami czy piana z tortu, wyprostować się też za bardzo nie można, bo facet nad tobą wali wtedy punktowym reflektorem po oczach...

Kochamy jednak te cyrkowe numery. I drewniane krzesełko uwiera nas w ostatnią krzyżową dopiero, gdy orkiestra gra a nie gra pożegnalny tusz. Stwierdzasz wtedy ze zdziwieniem, że minęły trzy bite godziny i trochę żal, że już po wszystkim. Można rozluźnić kciuki zaciśnięte za dziewczyny kręcące pod samą kopułą niebezpieczne salta, komentować poziom tresury koni, dyskutować z sąsiadem czy te lwy to rzeczywiście takie złe, bo ryczą, czy tylko je drażnią „pod publikę".

— A widziałeś pan ten numer ze zniknięciem faceta zamkniętego w skrzyni? Dobre, nie!? Ale ja znam ten trick, tam rozumiesz pan, jest w podłodze taka klapa...

Nestorkę polskiej areny rozpoznałem bez trudu: wysoka, szczupła brunetka o urodzie Cyganki, no i ten wykonany pół godziny temu numer, który każdemu na długo pozostanie w pamięci. W ułożone na arenie wąskie pudło wstawia ona mianowicie trzy miecze, na których partner (prywatnie syn) kładzie poziomo „zahipnotyzowaną" dziewczynę (prywatnie — synową). Następnie wyciągają dwa miecze i śpiące medium spoczywa na ostatnim tkwiącym pod głową...

Brawa wówczas huczą, a mnie teraz korci, by podpytać panią **WIESŁAWĘ NIEMECZEK** o tajniki iluzji.

— Przepraszam, możemy wiele godzin przegadać o ludziach cyrkiem zauroczonych, ale tego się pan nie dowie, to po prostu tajemnica zawodowa. Mogę tylko powiedzieć, że jest w tym trochę elektroniki...

— Pani rodzina zawsze była związana z cyrkiem?

— Tak to można określić. Rodzice moi od 1935 roku występowali pod cyrkowymi namiotami wcześniej jeszcze jako duet taneczny w różnych lokalach i teatrach. Ja też zresztą od tańca i śpiewu zaczynałam. A w trzydziestym ósmym rodzice zaangażowali się do cyrku Nemecków, a właściwie „Harrego". Ten czeski cyrk prowadził mój przyszły mąż, miał wówczas 18 lat i przejął wszystko po swym ojcu.

— Mówią, że nie zajmowała się pani tylko tresurą koni.

16

Zaczęły się VII Spotkania Baletowe

(czytaj str. 9)

Foto: Chwalisław Zieliński

Od niedzieli 15 maja trwają w Teatrze Wielkim VII Łódzkie Spotkania Baletowe o ustalonej już pozycji w kraju i znacznym zainteresowaniu za granicą, co poświadczy tradycyjny udział w Spotkaniach całej krajowej czołówki i uczestnictwo wybitnych zespołów z wielu różnych krajów.

Na zdjęciu EWA WYCICHOWSKA i KAZIMIERZ WRZOSEK w scenie z II aktu „Coppelii", której omówienie zamieszczamy w środku numeru. Od następnego numeru będziemy dawać omówienia wszystkich festiwalowych prezentacji.

Przegląd prasy

BARDZO LUBIMY PLOTKI

Temat plotek podjął w „SZPILKACH" (nr 19 z 12 maja 1983 r) Klakson w felietonie pt. „Byłżeby to Lenart?". Nim opowiem o jednej pysznej plotce — za Klaksonem oczywiście — muszę z przykrością wspomnieć, że Klakson jakby stracił formę, pisze coraz nudniej. To już nie to, co jego poprzednik Jerzy Urban, który umiał zbulwersować czytelnika, ale też i dostał za swoje i zamilkł. Klakson pisze jakby z obawą, skrępowany, czując respekt nie tyle przed poprzednikiem, ile przed tym, co go spotkało.

Wróćmy jednak do plotek.

„Plotki, które nie są puszczane z polityczną premedytacją — pisze Klakson — *stanowią projekcję ludzkich lęków i nadziei. Mają one szansę obiegu wówczas, jeżeli sporo ludzi podziela pragnienie albo obawy plotkarzy."*

I zapewne dlatego:

„Stolicę zawsze obiega ze sto plotek — pisze dalej Klakson — *o tym, kto wyleci, a kto awansuje, a ponad nimi unosi się z reguły trochę plotek bardziej malowniczych."*

I jedna taka pyszną plotkę Klakson opowiada:

„O Mieczysławie Rakowskim słyszałem ostatnio, że jest każdego rana „reanimowany", to znaczy przyłączany do aparatury, która wlewa w niego życie na jedną dobę, po czym wrak wiceministra wożony być musi na następny zabieg. Obiega to, nie jako żadna metafora, lecz fakt kliniczny. Źródłem wiadomości — mówiono mi — jest lekarka, która osobiście, co rano dygnitarza tego ożywia. Równolegle kursuje informacja, że żona uciekła od Rakowskiego szybko i daleko. Mówiono tak u kosmetyczki".

Czego to ludzie nie wymyślą. Widać mają dużo czasu, u kosmetyczki, w poczekalni u lekarza i gdzie indziej. Bo my lubimy plotki — a kto ich nie lubi? —

I LUBIMY MITY

Jeden z takich mitów próbował rozwiać prof. Ludwik Janiszewski z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Szczecinie. Pisze o tym „SZTANDAR MŁODYCH" w piątkowym wydaniu, które jest zawsze znakomicie redagowane (nr 95 z 13—15 maja 1983 r). Badania prof. Ludwik Janiszewski przeprowadził przed kilku laty, ale problem jest aktualny i dziś, a wynikami badań nikt się nie zainteresował poza prasą Wybrzeża. Podnosi ten problem Wojciech Jurczak w artykule zatytułowanym „Marynarzową być...". Jest to problem — jak słusznie pisze — *„o którym opinia społeczna przypomina sobie na ogół dopiero wtedy, gdy na morzu wydarzy się tragedia"*, a przez cały pozostały czas bawi się mitami o marynarskim dobrobycie, nie biorąc pod uwagę ceny jaką za ten — względny przecież — dobrobyt się płaci.

Wojciech Jurczak przeprowadził rozmowy z żonami marynarzy. Smutne to rozmowy. Jedna z marynarskich żon nie kryje, że są wśród marynarzy ludzie, którzy kombinują, przemycają, handlują. Ale — powiada — *„mój mąż szanuje swoją pracę i swój zawód, chce awansować, więc chyba jasne, że nie pójdzie na szwindel"*. Nic więc dziwnego, że ta rodzina marynarska nie posiada ani samochodu, ani... mieszkania.

Z mieszkaniami marynarskimi to w ogóle dziwna sprawa. W spółdzielni — nie bez udziału działaczy byłej „Solidarności" — doszli do wniosku, że marynarze mogą sobie kupować mieszkania własnościowe, więc odsuwano ich na dalsze miejsca w kolejkach po mieszkanie. Czy zarobki marynarskie upoważniają każdego do kupienia sobie własnościowego mieszkania za dolary? Jeśli nie — to taka polityka sugerowała niejako marynarzom... sposób zdobywania dolarów. Oczywiście nielegalny.

Popularna piosenka kabaretowa sprzed wojny głosiła, że *„marynarz w dzień śpi, w nocy się bawi"* i coś mi się wydaje, że większość Polaków tak sobie wyobraża pracę marynarzy. Nie zdają oni sobie sprawy, że często dzieci marynarzy mówią do nich po powrocie „pan", bo już zdążyły się nauczyć mówić, a tatuś w tym czasie pływał po morzach i oceanach świata. Nie bierze się pod uwagę ceny, jaką za tę pracę płacą marynarzowe. Jest tam spowiedź Ewy, która już nie jest marynarzową, już nie pije, a której matka powiedziała wprost:

— *„Weź sobie kogoś na te dni, inne marynarzowe tak robią. Inaczej zwariujesz. Albo postaraj się o dziecko."*

A cena marynarskich zmartwień, kiedy nie mogą się dowiedzieć, co w domu, kiedy chodzą im po głowie myśli, że młoda przecież jeszcze żona wzięła sobie kogoś na te dni, bo inaczej zwariuje. U nas tego wszystkiego się nie widzi,

WIDZI SIĘ TYLKO SKUTKI

zarobki bez kosztów i to nie tylko materialnych, ale i psychicznych i moralnych.

Skutki widzi też klient, kiedy staje przed towarem z nową, wyższą ceną. Dlatego na każdym spotkaniu ministra Zdzisława Krasińskiego pyta się, co znów zdrożeje. W „Uniontexie" — o czym donosi „TYDZIEŃ W UNIONTEXIE", który doczekał się już 50 numerów (nr18 z 5 maja 1983 r) — też pytano o ceny i dowiedziano się, że zdrożeje między innymi sól. A dlatego, że Wieliczka sypie się i trzeba ją ratować. Różnica w cenie ma więc — tłumaczył prof. Z. Krasiński — pomóc w ratowaniu jedynego w świecie zabytku, Wieliczki. I ja mu wierzę. Nie bardzo natomiast mogę uwierzyć w to, że podniesienie czynszów usprawni działalność remontową w gospodarce komunalnej. Już czynsze podwyższano, a z remontami coraz gorzej. Rzecz chyba nie w pieniądzach.

Przy okazji informuję, że „Tydzień w Uniontexie" ma pretensje do łódzkiej telewizji oraz do prasy codziennej — z wyjątkiem „Expressu Ilustrowanego" — za brak relacji ze spotkania z ministrem Zdzisławem Krasińskim. *„Rozmawiano przecież* — pisze gazeta zakładowa — *o sprawach dyskutowanych codziennie, o sprawach bolących"*. Gazeta przypomina, że w okresie, kiedy przywiązuje się wagę do społecznych konsultacji, spotkanie w „Uniontexie" taki właśnie miało charakter, można się tylko zdziwić, że nikt się nim — poza „EI" — nie zainteresował.

LUCJAN BOGUSZ

NAD ZATOKĄ PERSKĄ

W Iranie zwrot na prawo

Ktoś mnie niedawno zapytał, o co właściwie toczy się wojna między Irakiem a Iranem? Wybuchła ta wojna 22 września 1980 roku, pochłonęła wiele ofiar, zdecydowanego postępu nie przyniosła żadnej ze stron. Pytanie jest więc uzasadnione. Ale odpowiedź na nie nie jest dla europejczyka łatwa do zrozumienia. Przyczyn tej wojny trzeba szukać w dalekiej przeszłości, w różnicach religijnych występujących w obrębie islamu, jak też w sporach terytorialnych, politycznych i narodowościowych. **Irak** — to Arabowie, choć i tu są szyici, ale większość stanowią sunnici. **Iran** — to Persowie (nie licząc mniejszości oczywiście) i przede wszystkim szyizm. Bezpośrednim powodem był spór o przynależność zlewiska Tygrysu i Eufratu — **Szatt-el-Arab** oraz trzech wysepek w cieśninie Ormuz, które w 1971 roku zajął szach Reza Pahlavi, a które według Iraku należą do Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Jeśli chodzi o **Szatt-el-Arab**, to w 1975 roku w Algierze zawarte zostało prozumienie między Iranem i Irakiem, które stanowiło, że granica między obu państwami będzie przebiegać środkiem tej rzeki. Ceną tego ustępstwa ze strony Iraku była rezygnacja Iranu z pomocy świadczonej na rzecz walczących w Iraku Kurdów oraz drobne korekty graniczne. Wszakże w 1980 roku prezydent Iraku **Saddam Husajn** i jego doradcy doszli do wniosku, że Iran tak jest osłabiony rewolucją islamską, wewnętrznymi sporami, iż łatwo będzie odebrać irański brzeg Szatt-el-Arab oraz wyraźnie osłabić Iran, aby rewolucyjny i wojujący szyizm nie rozprzestrzenił się na inne kraje islamskie. Ta wojna jednak była również na rękę imamowi **Ruhollahowi Chomeiniemu**, który arabski nacjonalizm i socjalizm głoszony przez iracką partię BAAS oraz laicki charakter państwa irackiego uważał za niebezpieczeństwo równe egalitarnemu islamowi mudżahedinów i marksizmowi. Sądził więc on, że wojna przyczyni się do rozpadu państwa irackiego.

Jak pokazała historia tej dziwnej wojny obaj przywódcy zawiedli się. **W Iraku** nastąpiła konsolidacja wokół BAAS, a **w Iranie** wokół Ruhollaha Chomeiniego. Żadna ze stron — jak do tej pory — nie odniosła decydującego zwycięstwa, choć początkowo wydawało się, że postępy wojsk irackich mogą do takiego zwycięstwa doprowadzić. Wojna przyniosła obu stronom poważne straty.

W czerwcu 1982 roku prezydent Iranu, hojatoleslam **Seyed Ali Chamenei** ocenił straty na 150 milionów dolarów. Ostatnio jednak irańska agencja prasowa IRNA podała, że straty te według oceny organizacji planowania i budżetu wynoszą 90 mld dolarów. Są to wprawdzie tylko straty obliczone w przemyśle podlegającym państwu. W rzeczywistości są one o wiele większe. Wystarczy powiedzieć tylko, że *przed wojną Iran produkował 6 mln baryłek* ropy naftowej dziennie. Na początku wojny 600 tysięcy baryłek, a obecnie około 3,5 miliona baryłek. Poza tym uszkodzone szyby wylały do wody Zatoki Perskiej ropę naftową, której plama na powierzchni wody kilka tygodni temu osiągnęła rozmiary Szwajcarii, skutecznie niszcząc życie w wodach zatoki. Jakie będą dalsze straty materialne trudno przewidzieć, tym bardziej, że obserwatorzy tej części świata sądzą, iż wojna nie skończy się prędko.

Starcia na froncie, walki pozycyjne, ataki lotnicze nie przeszkadzają — a można podejrzewać, że nawet pomagają — w przeprowadzaniu zmian w polityce wewnętrznej Iranu. Jak utrzymują obserwatorzy zagraniczni imam **Ruhollah Chomeini** miał do wyboru, albo kontynuować rewolucję i przeprowadzić oczekiwane zmiany w polityce socjalnej, albo cofnąć się i umacniać obecną władzę. Do tego pierwszego nakłaniali go między innymi niektórzy jego zwolennicy oraz działacze partii **Tudeh**. Przeciwni temu byli fundementaliści islamscy, związani z bazarem, który w Iranie zawsze wywierał wpływ na politykę wewnętrzną. Wszystko wskazuje, że tak stało się i teraz. Bazar dużo zyskał na rewolucji islamskiej i pragnie utrwalić swoją pozycję i swoje zdobycze, a nie narażać je na straty, jakie może przynieść z sobą pogłębiająca się rewolucja. Bazar domagał się delegalizacji partii komunistycznej **Tudeh**. I stało się.

Na początku lutego 1983 roku aresztowano 70 członków partii **Tudeh** wraz z sekretarzem generalnym **Nureddinim Kianuri.** Niedawno na konferencji prasowej w Teheranie dowodca strażników rewolucji, **Mohsen Rezai** powiedział, że aresztowano nie tylko Nureddiniego Kianuri, ale też **Esbana Tabari**, który uważany jest za przywódcę intelektualnego partii Tudeh, a który „był szczególnie dobrze zakonspirowany".

Ludowa Partia Iranu — Tudeh powstała w październiku 1941 roku, założyli ją działacze rozbitej w 1937 roku Irańskiej Partii Komunistycznej. Tudeh została zdelegalizowana w lutym 1949 roku, działała w podziemiu, a po upadku rządu Mosaddeka w sierpniu 1953 roku spadły na nią kolejne represje. Prześladowana była przez Savak — tajną policję szacha Rezy Pahlavi. Dopiero 14 kwietnia 1979 roku — po 24 latach wygnania — powrócił do Teheranu sekretarz generalny KC LPI Tudeh — **Nureddin Kianuri.** Irańscy komuniści mogli jawnie włączyć się do życia politycznego swego kraju. Nie trwało to długo. W 1981 roku zakazano partii Tudeh wydawania centralnego organu partii, a także zajęto szereg regionalnych lokali partyjnych. Wszystko były to jednak przygrywki do głównego uderzenia.

Aresztowania członków kierownictwa LPI Tudeh zaczęły się na początku lutego 1983 roku. Aresztowano wówczas 70 osób, ale — jak twierdzą niektórzy — nie wszystkich. Części udało się zbiec za granicę. Z Ankary doniosły agencje zachodnie, że turecka policja aresztowała 12 domniemanych członków partii Tudeh, u których miano znaleźć dokumenty partyjne oraz ulotki armeńskich organizacji.

30 kwietnia 1983 r. irańska agencja prasowa IRNA doniosła o dalszych aresztowaniach członków partii w wyniku zeznań, jakie do tej pory złożyli aresztowani w lutym członkowie komunistycznej partii Tudeh. **1 maja** — w niedzielę — telewizja irańska nadała program, w którym „oświadczenie" złożył sekretarz generalny LPI Tudeh — **Nureddin Kianuri.** W tym „oświadczeniu" Nureddin Kianuri przyznał się, iż „przygotowywał analizy i przekazywał je do ZSRR", co jest oczywiście zdradą wobec Iranu. Audycja trwała 13 minut. Pytania Nureddinowi Kianuri zadawał ktoś niewidoczny na ekranie. Jak twierdzi AFP w depeszy z Teheranu Nureddin Kianuri odpowiadał drewnianym, znużonym głosem. Następnego dnia przedstawiciel LPI Tudeh w Paryżu, **M. Sadeq** określił zeznania Nureddina Kianuri jako „wymuszone siłą, psychicznymi i fizycznymi torturami". M. Sadeq oświadczył też, iż posiada mandat partii dla zaapelowania do wszystkich postępowych sił na świecie, aby sprzeciwiły się egzekucji Nureddina Kianuri. W Teheranie zresztą rozeszły się już pogłoski o tej egzekucji. Dowódca strażników rewolucji — Mohsen Reai musiał 10 maja 1983 roku na konferencji prasowej zdementować te plotki.

9 maja telewizja irańska nadała kolejny program, w którym wystąpił **Reza Szaltuki,** kierownik wydziału do spraw prowincji w centralnych władzach partii Tudeh. Powiedział, że on i jego towarzysze „przyznali się do zdrady, aby być po stronie rewolucji". Agencje donosząc o tej wypowiedzi, nie bardzo potrafiły ją skomentować. Ale to było już po delegalizacji partii Tudeh.

Decyzję o delegalizacji partii Tudeh podjęto 4 maja 1983 roku, oskarżając ją m.in. o szpiegostwo. Decyzję tę imam **Ruhollah Chomeini** powitał słowami:

— **Boże, dziękuję ci za twą łaskę. Nasi niedzi, bezimienni żołnierze aresztowali przywódców partii Tudeh, którzy prowadzili obłudną działalność, zmierzającą do obalenia islamu. Zawdzięczamy ten cud wyłącznie Allachowi.**

Mimo wyraźnego dążenia, aby czynom tym nadać sens wyłącznie religijny, **mają one swój** sens polityczny. Jest to przede wszystkim realizacja linii politycznej imama Ruhollaha Chomeiniego — **„ani Zachód, ani Wschód". A** po drugie, już w kilka godzin po ogłoszeniu delegalizacji partii Tudeh ogłoszono **następną decyzję o wydaleniu w ciągu 48 godzin 18 radzieckich dyplomatów,** oskarżając ich o „prowadzenie działalności szpiegowskiej". **Rząd radziecki** ostro zaprotestował przeciw **takiej decyzji,** odrzucając oskarżenia o szpiegostwo i mieszanie się w wewnętrzne sprawy Iranu. **6 maja 1983 r.** dziennik **„Prawda"** opublikował artykuł pt. **„O antyradzieckiej kampanii w Iranie".** Również agencja **TASS** odrzuciła w komentarzu irańskie oskarżenia, stwierdzając, że **„aby zdyskredytować partię Tudeh, przywódcy irańscy nie zawahali się przed wydaleniem z kraju grupy dyplomatów radzieckich, oskarżając ich o powiązania z wywiadowczymi elementami".**

PAP relacjonując artykuł **„Prawdy"** zwraca uwagę na ten fragment, w którym **„Prawda"** przypomina wytrwałą walkę irańskich komunistów z reżimem Rezy Pahlavi i to, że byli prześladowani przez tajną policję szacha, Savak. **Obecnie** — podkreśla „Prawda" — **irańskie organy śledcze od dwóch lat zbierały materiały przeciw członkom partii Tudeh posługując się takimi samymi metodami.** A przecież członkowie partii Tudeh nie byli członkami władz Irańskiej Republiki Islamskiej, nie mieli dostępu do tajnych dokumentów, nie uczestniczyli w tajnych naradach, co więc mieli do przekazywania.

Członkowie i sympatycy **zdelegalizowanej LPI Tudeh** mają w ciągu 7 dni od ogłoszenia decyzji o delegalizacji zgłosić się w prokuraturze lub w centrum strażników rewolucji, aby złożyć niezbędne zeznania. Kto tego nie uczyni będzie oskarżony o „prowadzenie działalności kontrrewolucyjnej i antypaństwowej i postawiony przed sądem". Dowódca strażników rewolucji — **Mohsen Rezai** na konferencji prasowej w Teheranie powiedział, że członkowie partii Tudeh masowo zgłaszają się do władz, a ci, którzy zgłaszają się dobrowolnie, będą mogli skorzystać z „przywilejów zagwarantowanych przez republikę islamską". Przy okazji oskarżył on członków partii Tudeh o kontakty i współpracę z obcymi władzami Afganistanu oraz o przenikanie do instytucji rządowych. Powiedział on również, że „aresztowanie przedstawicieli kierownictwa całkowicie zdezorganizowało partię"

Atak na partię Tudeh jest całkowitym odcięciem się stronników imama Ruhollaha Chomeiniego — a przynajmniej tej części, która obecnie zwyciężyła — od tendencji i nadziei lewicowych, od zamierzeń pogłębienia rewolucji, doprowadzenia do niezbędnych reform socjalistycznych. Jest to niewątpliwy **zwrot na prawo.** Niektórzy mówią też o tajnych rozmowach z bankierami i przedstawicielami przemysłu naftowego USA, którzy mieliby pomóc w odbudowie irańskiego przemysłu naftowego.

„Financial Times" w korespondencji z Teheranu z 28 kwietnia 1983 r. pisze, iż **„zachodni kupcy zaczynają wracać do Teheranu".** Wprawdzie gospodarka irańska nadal kieruje się zasadą Ruhollaha Chomeiniego „ani Zachód, ani Wschód", przede wszystkim szuka kontaktów z islamskimi państwami, ale coraz chętniej gości w Teheranie przedstawicieli różnych kontynentów i krajów. Minister transportu Nedżad Hossenian udał się do Pekinu, aby pertraktować w sprawie budowy linii kolejowych i dróg Kupcy brytyjscy mają wprawdzie udział na rynku irańskim w 5 proc. i sądzą, że wartość brytyjskiego eksportu do Iranu wzrośnie do 600 milionów dolarów. Transakcje handlowe zawarli też kupcy z RFN i Japonii. Handluje się i pertraktuje również z państwami socjalistycznymi.

Jaki będzie następny krok Iranu pod władzą imama Ruhollaha Chomeiniego?

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

W najbliższych numerach:

- KOLEJNY ARTYKUŁ KAROLA J. STRYJSKIEGO Z CYKLU „KULTURA I MŁODZIEŻ"
- „KWIATY ZAKAZANE" — EUGENIUSZ IWANICKI PORUSZA DRAŻLIWY PROBLEM PROSTYTUCJI NIELETNICH
- „MACHCIŃSKI STORY"
- Z CYKLU „ŚWIAT GINĄCYCH WIATRAKÓW" KOLEJNY REPORTAŻ ZBIGNIEWA KORZENIOWSKIEGO PT.: „W POSZUKIWANIU DIABŁÓW"
- VII ŁÓDZKIE SPOTKANIA BALETOWE — RECENZJE
- WIERSZE DLA MATEK I O MATKACH
- WYSTAWA „25 LAT „ODGŁOSÓW" W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI
- ZAPRASZAMY DO „TRÓJKI" — REPORTAŻ ZE STUDIA PROGRAMU TRZECIEGO
- JESZCZE O HITLERZE — „KRYSZTAŁOWA NOC" 1928 R.

KOLEDZE
JERZEMU PANASEWICZOWI

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

MATKI

składa

ZESPÓŁ „ODGŁOSÓW"

Przed egzaminami wstępnymi na wyższe uczelnie

Wiedza czy osobowość?

Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki przekazało do szerokiej, społecznej konsultacji opracowane przez siebie propozycje zmian w systemie przyjęć na studia wyższe.

Bezpośrednią przyczyną przygotowania nowego systemu była nasilająca się od kilku lat krytyka dotychczasowych zasad kwalifikowania oraz stosowanych form i metod selekcji kandydatów.

Najistotniejszymi zmianami, jakie moim zdaniem wprowadzają obecne propozycje, są: wieloetapowa procedura przyjęć, w której równouprawnionymi ogniwami ma być tak szkoła średnia, jak i wyższa, oraz tzw. wieloczynnikowa metoda kwalifikowania na studia, polegająca na kompleksowej ocenie przydatności kandydatów.

Nowy system zakłada jednocześnie pozostawienie dodatkowych preferencji społecznych, terytorialnych i środowiskowych, utrzymanie zasady przyjmowania bez egzaminu laureatów olimpiad przedmiotowych, przewiduje zróżnicowanie pytań egzaminacyjnych w zależności od typu kończonej przez kandydata szkoły itp.

Nie mam zamiaru dokonywać całościowej oceny projektu ministerialnego. Uważam, że zawiera on szereg nowatorskich i słusznych rozwiązań, i tylko z niektórymi gotów byłbym się spierać. Zająć się natomiast pragnę interesującą mnie szczególnie kwestią kompleksowej oceny kandydatów. Wprowadzenie tej zasady ma kapitalne znaczenie dla obiektywizacji i racjonalizacji procesu przyjęć na studia, chociaż, jak się okazuje, może budzić także zastrzeżenia.

JUŻ ŚWIĘTY AMBROŻY...

Przed paroma miesiącami zamieściłem w „Odgłosach" artykuł zatytułowany „Indeks dla Beaty". Przedstawiłem w nim między innymi propozycję wprowadzenia podczas egzaminów na studia nauczycielskie tzw. rekrutacji kierowanej, która polegać miałaby na różniącym się od obecnego postępowaniu kwalifikacyjnym. Wyraziłem przy tym opinię, że postępowanie takie nie tyle winno opierać się na sprawdzianach wiedzy, ile na badaniach dyspozycji osobowościowych kandydatów na studia oraz ich motywacji do pracy w zawodzie nauczycielskim (przy okazji wyjaśniam, że termin „osobowość" rozumiem jako zespół cech danej jednostki — intelektualnych, emocjonalnych, społeczno-moralnych).

Wspomniany artykuł wywołał polemikę Stanisława Bąkowicza na łamach „Głosu Robotniczego" Jego zdaniem — „M. Pryt proponuje nie zastanawiać się zbytnio nad zawartością szarych komórek", „wiedza kandydatów jest tu dla niego sprawą zupełnie uboczną"... Otóż rzeczywiście uważam, iż o tym, czy ktoś jest prawdziwym pedagogiem, przesądza przede wszystkim fakt posiadania — bądź nie — „osobowości" nauczycielskiej. Samej zaś wiedzy, którą legitymuje się wychowawca, przypisuję znaczenie drugorzędne, co nie znaczy, że jej nie doceniam.

Z tego przekonania wynika właśnie propozycja odejścia na egzaminach wstępnych od dotychczasowego prymatu sprawdzianów wiedzy, co mój polemista określa jako zaniżanie kryteriów przyjęć. Zaś na projekt oceniania dyspozycji osobowościowych replikuje apelem: „Niech nas wszyscy święci bronią przed tak wyselekcjonowaną kadrą pedagogów..."

Na temat, czy preferowanie badań osobowości należy traktować jako obniżanie kryteriów przyjęć, spróbuję wypowiedzieć się w dalszej części tego artykułu. Tu zaś napomknę jedynie, że dokonany przez publicystę „Głosu Robotniczego" wybór obrońców dla swych racji — nie jest chyba zbyt fortunny.

Toć o „zawartości szarych komórek" myślał przecież święty Paweł Apostoł, mówiąc — „Mądrość świata tego głupstwem jest u Boga". A święty Amroży, wielki biskup Mediolanu już 1500 lat temu okazał się być rzecznikiem oceniania dyspozycji indywidualnych przed wyborem zawodu:

„Każdy powinien poznać swe wrodzone zdolności i poświęcić się temu co uzna za stosowne dla siebie. Niech wpierw rozważy, do czego ma dążyć. Niech pozna swoje zalety, lecz również uświadomi sobie swe wady..."

O „DUSZY" NAUCZYCIELSTWA

Problem osobowości nauczyciela interesował od dawna wielu wybitnych polskich pedagogów i psychologów, Dawid, Mysłakowski, Szuman, Kreutz, Baley, Grzegorzewska, Korczak... Nawet pobieżne przedstawienie ich poglądów wymagałoby poświęcenia na to kilku stron maszynopisu. Wspólne dla wszystkich wyżej wymienionych jest niewątpliwie przekonanie o zasadniczej roli, jaką odgrywa w procesie wychowawczym emocjonalny stosunek nauczyciela do ucznia.

Najdobitniej wyraził ten pogląd Jan Władysław Dawid w głośnej, napisanej jeszcze w 1912 roku, rozprawce „O duszy nauczycielstwa". Osobowość nauczyciela winna charakteryzować się według niego „miłością dusz ludzkich", potrzebą doskonałości, poczuciem odpowiedzialności i obowiązku, wewnętrzną prawdziwością, moralną odwagą.

Autor dokonuje dla przykładu porównania sylwetek dwóch nauczycieli. Jednego — posiadającego wiedzę fachową, znającego psychologię, dydaktykę, ale nie charakteryzującego się wspomnianą „miłością dusz" i drugiego — o skromnej wiedzy, braku metodycznego przygotowania, lecz za to „miłującego" młodzież. Zdecydowane pierwszeństwo przyznaje temu drugiemu.

Dawid jest więc przekonany, że o wyniku pracy nauczycielskiej przesądza nie wiedza, którą zresztą można zdobyć w trakcie samodoskonalenia, lecz **owo „poczucie duchowej wspólności" z wychowankami, charakteryzujące osobowość autentycznego pedagoga.**

Dla psychologa Stefana Szumana umiejętności pedagogiczne nie są czymś wrodzonym. Jednakże dobrym nauczycielem może być ten, kto dysponuje osobowością dającą się dobrze zużytkować w dziedzinie pracy wychowawczej. W swej pracy „Talent pedagogiczny" Szuman napisał:

„U ludzi wielu innych zawodów, jeżeli chodzi o sam zawód, osobowość może pozostawać na uboczu, pedagog nie może się jej wyrzec ani wyprzeć".

GŁOS DOŚWIADCZENIA

Mam w ręku jedną z ostatnich książek wydanych przez Wydawnictwo Łódzkie: „Było i tak i siak" (wspomnienia nauczyciela 1945 — 1950). Autorem jej jest **Mieczysław Woźniakowski,** dyrektor Gimnazjum Miejskiego, potem III Liceum Ogólnokształcącego im. T. Kościuszki, kurator, znany działacz społeczny naszego miasta.

W zapiskach niezapomnianego „Dyra" odnajduję troskę o pokazanie skomplikowanej prawdy pierwszych powojennych lat. Pośród obiektywizmu relacji o problemach odbudowy łódzkiego szkolnictwa, obok barwnych sylwetek nauczycieli i uczniów odnajduję też osobiste opinie i refleksje autora — cenne szczególnie dlatego, że wsparte o mądrość długoletniego doświadczenia.

W pewnym miejscu M. Woźniakowski wyraża na przykład przekonanie, że pedagogika nie jest tylko nauką i praktyką — jest sztuką i jak każda sztuka przede wszystkim wyraża twórcę. Ale zaraz dodaje, jakby z odrobiną goryczy, że jego opinie nikomu nie są przydatne. Także tym, którzy dziś uczą, wychowują, hospitują, kierują szkołami. Dlaczego? Bo to już inne czasy i oni są inni...

Na tę „inność" kadry nauczycielskiej zwraca także uwagę **Mikołaj Kozakiewicz** w zbiorze swoich rozmów „Z ludźmi o człowieku". Wynika to z dialogu, jaki prowadzi z dwoma przedstawicielami starszego pokolenia pedagogów, pracującymi uprzednio w różnych typach szkół i na wielu szczeblach zarządzania oświatą.

Co wynika z ich obserwacji? Obecnie młodzi nauczyciele traktują pracę w szkole — jak każdą inną. Nie widzą w niej misji i posłannictwa. Są zdecydowanie lepiej wykształceni i posiadają o wiele więcej wiadomości niż ich starsi koledzy. Wielu wykazuje jednak obojętny stosunek do zawodu, nie przejawia większego zainteresowania swoją pracą. Obu indagowanych przez Mikołaja Kozakiewicza starszych nauczycieli niepokoi to, że tak wielu młodym ich kolegom nie zależy dzisiaj na uczniach.

„Oni nie pragną tego, co nam przyświecało: wywrzeć swoje piętno na osobowości wychowanka, wpłynąć na jego dalszą karierę i sukces życiowy".

JAKIEGO LUBIĘ NAUCZYCIELA!

Sami pedagodzy, jak wynika z niektórych badań prowadzonych w ich środowisku, uważają, iż do osiągnięcia sukcesów zawodowych przyczynia się w pierwszym rzędzie wszechstronna **wiedza,** w tym pedagogiczna, a także ogólna inteligencja. W dalszej kolejności wymieniają oni — **sprawiedliwość, cierpliwość, wyrozumiałość, takt, uczciwość nauczyciela. Jeszcze dalej — bardzo to symptomatyczne! — miłość do dzieci, serdeczny stosunek, przychylność do uczniów, pogodę ducha, optymizm, uśmiech.**

Widać więc, że poglądy obecnego pokolenia pedagogów na temat tego, co najważniejsze w nauczycielskiej osobowości — dość wyraźnie rozmijają się z osądem ich starszych kolegów. Ale co gorsza — także z opiniami młodzieży. Zwykło się niekiedy uważać, że głównie dla uczniów w młodszym wieku szkolnym istotne znaczenie mają: takt pedagogiczny, kultura osobista, a nawet fizyczna aparycja nauczyciela. Natomiast młodzież starsza, bardziej dojrzała i krytyczna, ma cenić bardziej zalety intelektualne wychowawców.

Sąd ten jest tylko częściowo prawdziwy. Okazuje się bowiem, że młodzież, aczkolwiek spośród właściwości dobrych nauczycieli wymienia w pierwszym rzędzie **umiejętność doboru odpowiednich metod nauczania,** to zaraz po nich — **sprawiedliwość, prawość, szlachetność, obiektywizm w postępowaniu.** W następnej kolejności dopiero — **wszechstronną, głęboką wiedzę i mądrość nauczyciela.**

Jeszcze wyraźniej wtórne znaczenie wiedzy zarysowuje się w odpowiedziach na pytania o właściwości nieodpowiednich pedagogów.

W opinii młodzieży cechami **dyskwalifikującymi** tę grupę nauczycieli są najpierw: **złośliwość, lekceważący, szyderczy, pogardliwy stosunek do uczniów, niesprawiedliwe postępowania.** Dopiero potem — **niedostateczna wiedza** (podaję za Janem Bohuckim „Osobowość nauczyciela w świadomości młodzieży").

A oto charakterystyczne wypowiedzi młodzieży:

— Lubię nauczyciela takiego, który jest wymagający, ale nie bardzo ostry, i który, wykładając dany przedmiot, potrafi ucznia zainteresować.

— Lubię nauczycieli dobrych i pogodnych. Nauczycieli, którzy od wejścia do klasy umieją sobie zjednać uczniów, u których wyczuwa się miłość do uczniów.

— **Mój stosunek do nauczyciela zależy w głównej mierze od osobowości, indywidualności nauczyciela. Nauczyciel dla mnie musi być czymś niecodziennym i niespotykanym.**

OSKARŻONA — RENATA K.

Chciałbym przypomnieć historię, która dwa lata temu wywołała wyjątkowo szeroki jak na tamten, burzliwy przecież, czas — rezonans społeczny. Przypomnieć dlatego, że z punktu widzenia pewnego ekstremalnego przypadku pozwala ona jakby w silnym powiększeniu spojrzeć raz jeszcze na problem relacji między wiedzą i osobowością.

18 lutego 1981 roku lekarz stołecznego pogotowia ratunkowego, wezwany do jednego z mieszkań na Żoliborzu, stwierdził zgon sześcioletniego chłopca. Przyczyną okazały się obrażenia ciała wyniesione z dotkliwego pobicia. Sprawczynią śmierci małego Daniela była Renata Krzymuska, 28-letnia nauczycielka jednej ze szkół warszawskich. Pochodziła z rodziny pracowników naukowych, ukończyła wyższe studia. W opinii kolegów i znajomych — inteligentna, ambitna i pracowita. Swe obowiązki przybranej matki (ojciec Daniela miał zostać jej mężem) traktowała bardzo odpowiedzialnie. Aby zająć się całkowicie wychowaniem dziecka, zrezygnowała nawet ze studiów na drugim fakultecie.

Tyle tylko, że za najwłaściwszą metodę wychowawczą Renata Krzymuska uznawała bicie, o ile oczywiście inne próby tzw. racjonalnego argumentowania nie przynosiły rezultatów. Za pomocą bicia skórzanym pasem uczyła więc Daniela poprawnego zachowania się, wykonywania obowiązków domowych itd.

Krytycznego dnia postanowiła doprowadzić do samodzielnego rozwiązania przez chłopca problemu: „jak zdobyć sznurowadła do przedszkolnych kapci". Ponieważ malec nie wykazywał dostatecznej inwencji i trochę był uparty, biła go z przerwami całe popołudnie i wieczór. Finał okazał się tragiczny. Orzeczenie sądu brzmiało: 15 lat ograniczenia wolności. W uzasadnieniu wyroku znalazło się stwierdzenie, że podstawową przyczyną nieumyślnego zabójstwa był **„nieprawidłowy rozwój osobowości" oskarżonej.**

Sprawa Daniela poruszyła głęboko opinię publiczną. W listach do sądu, prokuratury, ministra sprawiedliwości zapytywano, jak oskarżona mogła znaleźć się w szeregach nauczycielskich, żądano pozbawienia jej dożywotnio praw wykonywania zawodu. Przy okazji domagano się w ogóle — weryfikacji kadr pedagogicznych. W zbiorowym liście, jaki nadszedł z największego zakładu pracy na Wybrzeżu, znalazł się dobitnie sformułowany postulat:

„Na pedagogów należy przyjmować ludzi z powołania i prawdziwego zdarzenia".

ZA BADANIAMI OSOBOWOŚCI

Jak wynika z przytoczonych poglądów i opinii, w mniejszym stopniu wiedza, bardziej zaś — cechy osobowości — decydują ostatecznie o powodzeniu pracy nauczycielskiej. Tymczasem dotychczas obowiązujące egzaminy na studia nauczycielskie zorientowane są **niemal wyłącznie na sprawdzian teoretycznych wiadomości.** W konsekwencji — ten sam zakres egzaminu obowiązuje kandydata na nauczyciela języka polskiego — co przyszłego bibliotekarza, nauczyciela historii — co archeologa, nauczyciela fizyki — co astronoma!

Dlatego z uznaniem należy przyjąć projektowane wprowadzenie w trakcie egzaminów na studia — **kompleksowej oceny przydatności kandydata.** W tej ocenie, niezależnie od przewidywanych badań umiejętności i uzdolnień, winny się znaleźć dodatkowo na kierunkach nauczycielskich (czy tylko?) — badania osobowości i motywacji do pracy w zawodzie.

To, że prowadzenie takich badań jest możliwe, dowodzi dotychczasowa praktyka przyjęć do wyższych szkół oficerskich. Kandydaci tamże muszą pozytywnie zaliczyć badania psychologiczne — właśnie w oparciu o kwestionariusze motywacji i osobowości.

Należy tym sposobem dać następny krok w celu **ograniczenia negatywnej selekcji do zawodu nauczycielskiego** (niezależnie od koniecznej kontynuacji działań w zakresie spraw bytowych regulacji uposażeń itp.). Chodzi bowiem o to, by na studia dostawał się nie ktoś, kto wykazać się może jedynie zmagazynowaniem w głowie większej ilości informacji, lecz przede wszystkim kandydat, którego struktura osobowościowa sprzyjać będzie wykonywaniu nauczycielskich obowiązków.

Widoczne, szczególnie dzisiaj osłabienie efektywności pedagogicznej naszego systemu szkolnego zwraca uwagę władz, publicystów, opinii społecznej, na potrzebę znalezienia środków zaradczych. Widzi się je najczęściej w działaniach organizatorskich: w zwiększeniu nakładów na oświatę, lepszym wyposażeniu szkół, podnoszeniu kwalifikacji nauczycieli.

Są to zabiegi ważne i konieczne. Ale, jak powiedział Jan Szczepański w „Rzeczy o nauczycielach w wychowującym społeczeństwie socjalistycznym": **„Sprawą podstawową jest osobowość nauczyciela i jego stosunek do wychowanka. One decydują o wynikach jego pracy szkolnej. Są czynnikiem podstawowym".**

MAREK PRYT

Czy sądy w Polsce są łagodne?

Zabójstwo taksówkarza zbulwersowało opinię społeczną. Po ogłoszeniu wyroku publiczność demonstracyjnie opuściła salę sądową na znak protestu przeciwko zbyt niskiemu wymiarowi kary. Ludzie ci oczekiwali, że zgodnie ze starą zasadą „oko za oko" zabójca powinien być stracony. Sąd uznał inaczej. Wniesiono rewizję nadzwyczajną. Niejedyny to przypadek, gdy wyrok rozmija się ze społecznym oczekiwaniem. Zdarza się tak nie tylko w przypadku zabójstw czy innych przestępstw zagrożonych najwyższym wymiarem kary, ale również w sprawach mniejszej wagi. W ostatnim okresie dość często dają się słyszeć krytyczne uwagi pod adresem wymiaru sprawiedliwości, który zbyt łagodnie obchodzi się ze spekulantami, łapownikami i złodziejami.
Czy rzeczywiście sądy są zbyt łagodne?
Czy podwyższenie kar może przyczynić się do zlikwidowania zjawisk stanowiących obecnie plagę społeczną?
O sprawach tych, a także innych problemach związanych z wymiarem sprawiedliwości i społeczną percepcją prawa dyskutowali prawnicy.
W dyskusji uczestniczyli: BOLESŁAW KRAUPE — wiceprezes Sądu Wojewódzkiego, ELŻBIETA ŁOPACZEWSKA — przewodnicząca Wydziału IX Karnego Sądu Rejonowego, STANISŁAW ZIMOCH — sędzia — wizytator Sądu Wojewódzkiego, STEFAN BALCZAREK — przewodniczący Wydziału IV Karnego Rewizyjnego Sądu Wojewódzkiego, JANUSZ RITMANN — przewodniczący Wydziału III Karnego Sądu Wojewódzkiego.
Oto spisany z taśmy przebieg tej dyskusji.

NIE MOŻNA WSZYSTKICH JEDNAKOWO SĄDZIĆ

B. KRAUPE: — Zacznę od generalnej uwagi: wymiar sprawiedliwości wymaga dystansu i wyciszenia emocji, maksymalnego włączenia czynników racjonalnych. Inaczej przestaje być obiektywny. Symbol Temidy z przepaską na oczach to nie tylko znak, że wymiar sprawiedliwości ma być ślepy, ale także nie poddawać się rozmaitym wpływom zewnętrznym. Ponadto sądy są tylko realizatorami przepisów prawa. Wszelkie żądania krańcowe, np. że spekulantów powinno się wsadzać na 15 lat do więzienia czy nawet wieszać — bo i takie głosy w ramach swoistego populistycznego festiwalu się słyszy — nie znajdują możliwości zastosowania, ponieważ polskie prawodawstwo nie przewiduje takich sankcji. I to jest już istotny ogranicznik surowości sądu. Kolejna kwestia — wymiar sprawiedliwości nie może ulegać nieuzasadnionej akcyjności. Oczywiście, pewne przestępstwa się nasilają, rodzą się nowe typy zachowań przestępczych, które dotychczas nie miały miejsca. Przykład — spekulacja. Musiała powstać odrębna ustawa, penalizująca dokuczliwy społecznie stan, dotychczas neutralny prawnie, a oceniany jedynie w kategoriach moralnych. Nie może to jednak być rozumiane w ten sposób, że w najbliższych latach karzemy bardziej surowo, a w dalszej przyszłości łagodniej. I wreszcie sprawa najważniejsza: wymiar sprawiedliwości zawsze funkcjonuje w konkretnym polu działania, to znaczy przedmiotem jego zainteresowania jest konkretna osoba, sądzona za konkretny czyn popełniony w określonych okolicznościach.

JAK WALCZYĆ ZE SPEKULACJĄ?

S. ZIMOCH: — To, co powiem teraz, jest trochę chyba wbrew temu, co powiedziałem poniżej pasa: uważam, że walkę ze spekulacją ma w swoich rękach społeczeństwo, a nie sądy i nie milicja. Jestem święcie przekonany, że wszyscy krzykacze, którzy domagają się wieszania spekulantów, bez najmniejszych oporów moralnych w większości przypadków kupiliby „od tyłu" potrzebny im artykuł.

J. RITMANN: — Tyle, że rządzi tu prawo ekonomiczne. Nie wystarczy pobożne życzenie, aby społeczeństwo zwalczyło spekulację. Będą towary, nie będzie spekulantów.

S. ZIMOCH: — Oczywiście, chodzi mi jednak o to, że społeczeństwo musi zrozumieć, iż wyrokami sądowymi, jakie by one nie były, nie zlikwiduje się spekulacji, ani też żadnej innej grupy przestępstw.

J. RITMANN: — Wróćmy jednak do opinii społecznej. Są sprawy bulwersujące, jak choćby już wspomniane zabójstwo taksówkarza. W jaki sposób oceniają je ludzie zależy także od informacji. Przy każdej okazji podkreślamy jej słabość. Nastąpił niekorzystny zanik takiej specjalizacji dziennikarskiej, jak sprawozdawca sądowy. W gazetach czy dziennikach telewizyjnych ukazują się krótkie informacje o procesach. Moim zdaniem, są one niepotrzebne, a nawet szkodliwe, przynoszące odwrotne od zamierzonych skutki. Jest to z natury rzeczy informacja krótka, w której nie podaje się wielu okoliczności sprawy, a nawet treści uzasadnienia wyroku. Trudno więc, aby jej odbiorca wyrobił sobie właściwy pogląd i mógł ocenić, czy wyrok był łagodny czy też surowy.

B. KRAUPE: — Często również następuje zderzenie dwóch szczątkowych informacji. Na przykład mówi się o milionowej aferze, a po upływie kilku tygodni podaje wyrok nie korespondujący z treścią aktu oskarżenia. Telewidz nie wie, co zmieniło się w trakcie postępowania dowodowego i zadaje sobie pytanie: co te sądy wyprawiają?

S. ZIMOCH: — Podam konkretny przykład. W łódzkiej telewizji pokazano mieszkanie jakiegoś nauczyciela, wypełnione kartonami, puszkami itp. Wyglądało na dużą aferę spekulacyjną. Prokurator oskarżył nauczyciela o przywłaszczenie sobie towarów wartości 13.000 zł, sąd ustalił, że było to 7.000 zł i na tej podstawie wydał wyrok. Poza tym nie był to spekulant, lecz złodziej — okradał dzieci na koloniach. Teraz tę informację o niskim wyroku widz przymierza do tego, co widział w TV. Zgadzam się, że to może irytować.

J. RITMANN: — Wspomnę tu o innej, bardzo drastycznej sprawie: zabójstwo matki, rozkawałkowanie zwłok. Szczęśliwie, o ile można użyć takiego określenia, dla prokuratora i organów ścigania złożyło się, że oskarżona chciała zeznawać. Inaczej stanęlibyśmy przed faktem całkowitego braku dowodów. Byłyby tylko zwłoki, ale nie wiadomo, co się stało i dlaczego. Nie mówię tu o wysokości wyroku (7 lat), który nie jest jeszcze prawomocny. Chciałbym jedynie w ten sposób podkreślić złożoność problemów, przed jakimi stają sądy. Trzeba to chyba prezentować społeczeństwu, aby świadomość prawną, która jest obecnie bardzo niska, w jakiś sposób podnieść.

KIEDY KARAĆ ŚMIERCIĄ?

S. ZIMOCH: — Jeżeli kara śmierci jest — jak mówi kodeks — karą o wyjątkowym charakterze, to znaczy, że można ją orzec tylko w przypadku, gdy sprawca nie rokuje żadnych nadziei na reedukację w przyszłości. Jego przeszłość i dotychczasowy tryb życia muszą być tak straszne, że trzeba tę jednostkę na zawsze eliminować ze społeczeństwa. Ja również byłem wstrząśnięty zabójstwem taksówkarza, uważam jednak, że wymierzona kara jest bardzo surowa. Przestępstwo to popełnili przecież bardzo młodzi ludzie i trudno chyba z całą stanowczością twierdzić, że nie ma dla nich żadnych szans na powrót do normalnego życia. Popatrzmy zresztą, co się dzieje na świecie. Są kraje, gdzie kary śmierci w ogóle nie ma. Np. Włochy, które przecież borykają się z tak poważnymi problemami, jak mafia czy terroryzm.

J. RITMANN: — Trudno nam oceniać samych siebie, czy jesteśmy surowi czy też nie. Sądzę, wbrew wyrażanym niekiedy odczuciom społecznym, że kary wymierzane przez sąd są jednak wysokie. Mówię to na przykładzie Sądu Wojewódzkiego w Łodzi. Świadczy o tym m. in. statystyka obrazująca zmiany kar orzeczonych przez Sąd Wojewódzki w Łodzi, w drodze rewizji przez Sąd Najwyższy. W 1978 roku ze spraw, jakie trafiły do Sądu Najwyższego, w 5 proc. orzeczono zaostrzenie kary, natomiast złagodzenie w 22 proc. W kolejnych latach liczby te kształtowały się następująco: w 1979 — 6 proc. zaostrzeń i 22 proc. złagodzeń, w 1980 — 1.7 proc. oraz 23 proc., 1981 — 1,5 proc. i 43,6 proc. Sąd Wojewódzki w Łodzi od wielu lat „tradycyjnie" należy do najsurowszych w kraju.

S. ZIMOCH: — Społeczeństwo nie może oczekiwać, że za pomocą kar zlikwiduje się przestępczość. Można ją jedynie w określonym stopniu ograniczyć. Posłużę się porównaniem z innej dziedziny. Wiadomo, że zamiast leczyć choroby, należy dążyć do takiej zmiany warunków życia, odżywiania, higieny, aby do nich nie dochodziło. Podobnie i z przestępczością. Wyroki mogą w jakimś stopniu wpłynąć na ludzi, którzy jeszcze nie wkroczyli na drogę przestępstwa i powstrzymać ich przed popełnieniem karalnego czynu. Nie da się jednak nawet w przybliżeniu wyliczyć, jaka jest skuteczność takiego odstraszającego działania. Kiedy spotykam się z opinią, że 5 lat pozbawienia wolności czy nawet 2 lata, to żadna kara, nie mam ochoty dalej polemizować z takim człowiekiem, zwłaszcza, jeśli nie przytacza on żadnych racjonalnych argumentów.

J. RITMANN: — Przypomina się średniowiecze. Wykonywana publicznie kara śmierci miała odstraszać potencjalnych przestępców, a tymczasem ludzie przychodzili jak na festyn. I kiedy jednemu ścinano głowę za kradzież, w zgromadzonym tłumie kilku innych kradło mieszki z pieniędzmi.

E. ŁOPACZEWSKA: — Jeśli chodzi o opinię społeczną, nie jesteśmy przecież pozbawieni kontaktów z nią. W Sądzie Rejonowym większość spraw jest rozpoznawana w składzie ławniczym. Ławnicy są tym czynnikiem społecznym, który w sposób świadomy, werbalnie lub tylko samą swoją postawą przekazuje sądowi opinię swego środowiska. W dyskusji nad wyrokiem ławnicy mają możliwość przegłosowania sędziego zawodowego, a tym samym wpływają na wymiar kary, na to czy jest ona łagodna czy też surowa. Współdecydują o wyroku, oczywiście w płaszczyźnie zgodności z prawem. Bywa zresztą, wcale nierzadko, że w ogólnych dyskusjach ławnicy deklarują się jako zwolennicy bardzo surowych kar, a gdy przychodzi do rozpatrzenia konkretnej sprawy, powodują złagodzenie wyroku w stosunku do tego, co proponuje sędzia zawodowy.

Zwłaszcza w ostatnich miesiącach w sądach rejonowych obserwujemy znaczny wzrost „łagodności" ławników.

SPEKULACJA JEST RÓŻNA

J. RITMANN: — Chciałbym jeszcze wrócić do spekulacji. Można tu wyróżnić różne typy działań, np. ktoś wykupuje masy towarów i sprzedaje to z dużym zyskiem, ktoś inny tylko ukrył towar na zapleczu, z przeznaczeniem dla znajomych po normalnie obowiązującej cenie, ktoś, pracując na półtora etatu, wziął w obu instytucjach kartki na mięso. To wszystko jest spekulacja, ale jest oczywiste, że takie sprawy muszą być inaczej traktowane. Trudno wyobrazić sobie, że wszyscy zostaną skazani na 10 lat pozbawienia wolności.

S. ZIMOCH: — Społeczeństwo bulwersuje również sprawa handlu alkoholem, meliny. Przeważnie prowadzą je osoby w bardzo zaawansowanym wieku. I co — w ciągu pięciu lat, na jakie ewentualnie zostanie skazana taka handlarka, ma ona umrzeć w więzieniu?

B. KRAUPE: — Może być zarzut, że za taką rencistką ktoś się kryje. Po prostu najstarszego członka rodziny „wydelegowano" do odpowiedzialności. Tego trzeba jednak dowieść, nawet, jeżeli sam sędzia przypuszcza, że tak właśnie było. Nie możemy opierać się na domysłach i domniemaniach, bowiem w ten sposób przekreślilibyśmy pojęcie wymiaru sprawiedliwości.

S. ZIMOCH: — Być może niektóre grupy ludzi byłyby zadowolone z takiego postępowania, ale przecież można znowu zwrócić się z pytaniem: a jeżeli ktoś napisze donos na pana lub pańskiego znajomego i sąd wyda surowy wyrok skazujący, bo sędzia uznał, że zarzut jest prawdopodobny? Wątpię, czy takie postępowanie byłoby społecznie akceptowane.

J. RITMANN: Na pytanie: karać łagodnie czy surowo — nie da się odpowiedzieć. Karać trzeba przede wszystkim konsekwentnie. Pomóc w zwalczaniu przestępczości może nie tyle ostrość represji karnej, co wyrobienie w społeczeństwie przekonania o nieuchronności kary. Ale tu już wykraczamy poza obszar działania sądu. Każdy obywatel musi mieć świadomość, że odpowie nie tylko za poważne przestępstwo, ale także za drobne wykroczenie. Same sądy nie mogą tego załatwić, także organa ścigania nie dadzą rady bez właściwej postawy całego społeczeństwa. Trudno bowiem wyobrazić sobie, że w każdej bramie stanie milicjant. Nie mówiąc o tym, jakie by wywołało to nastroje i dyskusje o charakterze politycznym, rzecz jest praktycznie niemożliwa.

CZYJA OPINIA?

S. BALCZAREK: — Mówimy o opinii społecznej, a tymczasem należałoby mówić o opinii określonych środowisk, grup trwałych czy nawet tworzonych doraźnie. Opinia takiej grupy zależy w dużej mierze od tego, w jaki sposób i z jakiego źródła dotrze informacja o sprawie. Dla przykładu — sprawa o zabójstwo w relacji jednego ze świadków: mąż, ciężko pracujący człowiek, przyszedł do domu po pracy, w wigilijny wieczór, aby zjeść z rodziną kolację. Żona na oczach dzieci udusiła go. Jedną ręką zaciskała krawat, a drugą sprawdzała puls, czy jeszcze żyje. Jeżeli relacja w tej formie dotrze do jakiejś grupy ludzi, nie mających innych informacji o sprawie, powstanie opinia, że sprawca czynu zabójstwa należy skazać na najsurowszą karę. Tymczasem wyrok brzmiał: półtora roku pozbawienia wolności. Rada Państwa, w drodze łaski, warunkowo zawiesiła wykonanie kary. Ludzie znający sprawę od tej strony doszliby do wniosku, że sąd był wprost niezwykle łagodny. Świadek mówił prawdę, ale nie całą. Mąż rzeczywiście wrócił po pracy w wigilijny wieczór. Zanim jednak usiadł do kolacji, zdemolował mieszkanie, zbił żonę i dzieci, jak czynił to od długiego czasu. Te okoliczności, a także fakt, że czyn został popełniony w stanie silnego wzburzenia, wpłynęły na wyrok.

Uogólniając, opinia o surowości bądź łagodności sądu zależy od takich czynników, jak źródło informacji, a także na jaki grunt trafia.

Wracając jednak do wymiaru kary, bez względu na rodzaj przestępstwa, ustawa przewiduje dość zróżnicowane możliwości. I tylko w takich warunkach wymiar sprawiedliwości może działać prawidłowo. Nie ma możliwości szerokiego informowania społeczeństwa o wszystkich sprawach. Dlatego zawsze będą różne odbiory i różne opinie.

ŚWIADOMOŚĆ GRANICY KARY

E. ŁOPACZEWSKA: — Trudno dyskutować o wyroku z człowiekiem, który nawet nie wie, jakie granice kary przewiduje ustawa za określony czyn. Skoro nie orientuje się, czy orzeczony został najniższy, średni, czy najwyższy z możliwych wymiarów kary, to na jakiej podstawie mówi, że skazany został potraktowany zbyt łagodnie czy zbyt surowo. Bo tak mu się wydaje?

B. KRAUPE: — Jest takie powiedzonko, które pamiętam jeszcze ze szkoły: im kto więcej wie, tym ma więcej wątpliwości. W pewnym sensie znajduje ono swoje odzwierciedlenie w naszej pracy i zewnętrzny wyraz w wyroku, a także w jego przyjmowaniu przez ludzi znających przepisy prawa jedynie ze słyszenia.

S. BALCZAREK: — Proces jest u nas kontradyktoryjny, to znaczy występują w nim dwie strony: oskarżyciel i oskarżony często z obrońcą — adwokatem. Obie spełniają m. in. rolę kontroli sądu. Jeżeli którakolwiek ze stron uważa, że wymierzona kara jest niesprawiedliwa, istnieje możliwość odwołania się. Wtedy następne osoby w sądzie wyższej instancji kontrolują prawidłowość wyroku, także w płaszczyźnie wymiaru kary. I tu znowu trochę statystyki.

Ponad 70 proc. orzeczeń karnych staje się prawomocna w I instancji. Niespełna 30 proc. jest zaskarżana do II instancji, przy czym odwołanie składają równie często prokuratorzy, jak i adwokaci. Czyli zaledwie co piąta sprawa trafia ze skutkiem odwoławczym do drugiej instancji. Z zaskarżonych wyroków, około 30 proc. ulega uchyleniu bądź zmianie na korzyść lub na niekorzyść sprawcy. W zakresie wymiaru kary korekty są z reguły nie większe, niż 7—8 proc. w obie strony, a więc złagodzenia i zaostrzenia. Zdecydowana większość spraw, które kończą się w I instancji świadczy o tym, że oskarżyciele i oskarżeni zgadzają się z wyrokami, czyli uznają je za sprawiedliwe.

B. KRAUPE: — Aby rozmijanie się opinii społecznej ze stanowiskiem sądu zachodziło jak najrzadziej — zgadzam się bowiem, że jest to zjawisko niekorzystne — potrzebna jest edukacja prawna całego społeczeństwa, prowadzona od najwcześniejszego okresu, uwzględniająca różny poziom zdolności intelektualnych i możliwości poznawczych.

S. ZIMOCH: — Podjęto już pewne działania w tym zakresie. W szkołach ma być wprowadzony nowy przedmiot — prawoznawstwo. Zrzeszenie Prawników Polskich opracowuje specjalny podręcznik na zlecenie Ministra Oświaty i Wychowania.

E. ŁOPACZEWSKA: — Ze strony szkół, nawet podstawowych, istnieje ogromne zapotrzebowanie. Nauczyciele często zapraszają nas na spotkania z uczniami VIII klas. Nie uważam tego za najlepsze wyjście, jest to bowiem działanie doraźne. Zresztą edukacją młodzieży powinni zajmować się ludzie do tego powołani. Zamierzenia są takie, aby prawnicy pomogli wykształcić nauczycieli tego przedmiotu.

B. KRAUPE: — Jeszcze jedna uwaga: przestrzegać można tylko tego, co się zna. Tymczasem w naszych warunkach występuje duża labilność prawna. W całym gąszczu przepisów, starych i nowych, nakładających się wzajemnie, trudno zorientować się nawet prawnikowi, a co dopiero mówić o przeciętnym obywatelu. To także jest powodem rozmijania się stanowiska sądu i różnych grup społecznych.

Przerywamy w tym miejscu relację, nie uzyskując odpowiedzi na pytanie, czy sądy są zbyt surowe czy też zbyt łagodne. Nie ma zresztą potrzeby jednoznacznego formułowania takiej odpowiedzi. Sądy nie mają być surowe. Sądy nie mają być łagodne. Muszą być sprawiedliwe, to znaczy działające zgodnie z literą prawa, bez względu na to, czego życzą sobie poszczególne grupy społeczne.

Można natomiast zastanawiać się i dyskutować nad tym, czy prawo jest zbyt łagodne, czy obowiązujące przepisy odpowiadają warunkom, w jakich żyjemy. Prawo można zmieniać, ale nie jest to już zakres działania sędziów. W tej dziedzinie społeczeństwo powinno mieć wiele do powiedzenia.

Zanotowała:
TERESA JERZYKOWSKA

Szewc bez butów – a my?!

Rozmowa z Haliną Słodkowską — projektantką obuwia z NZPS „Neptun" w Starogardzie Gdańskim.

Kołomyja na rynku obuwniczym trwa. Talony — wbrew wcześniejszym zapowiedziom — znów się przedłuża, w sklepach „propozycje", że wstyd w czymś takim do trumny się położyć, w zakładach produkcja nie notowana w historii, a jeszcze rok bieżący ma też być — pod względem dostaw rynkowych — absolutnym rekordzistą. Dokładając do tego giełdy obuwnicze, gdzie tylko jęczeć z zachwytu — można dostać w konsekwencji obłędu.

O problemach branży obuwniczej, ale nie tylko, rozmawialiśmy z **Haliną Słodkowską**, projektantką obuwia w Nadbałtyckich Zakładach Przemysłu Skórzanego „NEPTUN" w Starogardzie Gdańskim:

„ODGŁOSY: — Oficjalnie i publicznie obiecano nam w tym roku zatrzęsienie obuwia w sklepach. Czy naprawdę nie da się już nic zrobić, żeby to, co opuszcza zakłady, było przynajmniej nieodpychające?

H. SŁODKOWSKA: — Nie do końca zgadzam się z opinią, że jest aż tak źle ze wzornictwem, zresztą nie zamierzam i nie mam prawa wypowiadać się za innych. A wracając do pytania — ja uważam, że dużo można na tym polu jeszcze zrobić. Naprawdę dużo. Błędem byłoby jednak ustawiać nas, projektantów pod przysłowiową ścianą i żądać obuwia ładnego, modnego i jeszcze jakościowo dobrego. W pewnym momencie rola projektanta najzwyczajniej się kończy... Wcale nie tak przyjemnie dzisiaj wykonywać taki zawód...

— A jak się go zdobywa?...

— W moim przypadku następująco: po szkole średniej zdałam do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Tam przez dwa lata miałam „normalne" zajęcia, a trzeci, czwarty i piąty rok to już ścisły kontakt z pracownią projektowania obuwia i galanterii skórzanej. Była to spora porcja teorii, a do tego zajęcia praktyczne. Projektowało się nie tylko na papierze, ale i na kopycie. Zatrudnieni w pracowni specjaliści przeobrażali nasze wizje i pomysły w konkretne wyroby. Tu wspomnieć muszę nazwiska dwóch swoich nauczycielek — Irminy Aksamitowskiej i pani Kuźniak. Zajęcia z takimi pedagogami i fachowcami solidnie przygotowały do zawodu.

— Wykłady, teoria, zajęcia praktyczne — w szkole. Czy to jednak nie za mało? Fabryka to przecież zupełnie coś innego...

— ...miałam też praktykę w zakładach. Najpierw w łódzkim „Skogarze", a praktyka dyplomowa odbywała się — w moim przypadku — w Łukowie. Nie ciackano się tam ze mną, dostałam od razu konkretną robotę do zrobienia. Musiałam, wykorzystując wytwarzane tu spody, do obuwia dziecięcego, zaproponować coś własnego. No i zaproponowałam, nawet się podobało, a z rozpędu to nawet te zastrzeżone spody ruszyłam. Oni, tam w Łukowie, robili je zawsze na biało — pomyślałam sobie, że w innych kolorach też by było fajnie. Trochę się krzywili, trochę sarkali, ale jak sama wzięłam się do mieszania farby, jak przypilnowałam i pokazałam pierwsze pary — to zaakceptowali. Jeszcze dzisiaj, jak spotykam na ulicy „moje" spody, to się cieszę...

— Absolwentka z tak unikalną specjalizacją, z pracą obronioną na piątkę, posiadająca dyplom ukończenia szkoły z wyróżnieniem, zapewne długo musiała opędzać się od propozycji pracy w naszych koncernach obuwniczych...

— Bez przesady. Po ukończeniu studiów, z różnych zresztą względów, podjęłam pracę w szkole podstawowej. Uczyłam dzieci rysunku. Widać jednak buty z głowy zupełnie mi nie wywietrzały, bo jak tylko dowiedziałam się, że w starogardzkim „Neptunie" jest wolne miejsce — od razu pojechałam. Rozejrzałam się trochę, pogadałam i zostałam.

— No i teraz młody, zdolny projektant, z głową pełną śmiałych pomysłów, ostro zabiera się do pracy. Wkrótce na rynek producent rzuci rewelację...

— ...wolne żarty. Ten zakład obecnie ma takie same ograniczenia, jak inni producenci. Wizje wizjami, a rzeczywistość jest nieubłagana.

— Nie jest chyba tak źle, skoro po trzech miesiącach pracy we wzorcowni „Neptuna" stoi kilka par najnowszych propozycji podpisanych: H. Słodkowska...

— Dobrze się chyba stało, że właściwie od pierwszego dnia rzucono mnie tu na głęboką wodę. Żadnej taryfy ulgowej, pozwolono mi tylko poznać zakład, jego park maszynowy, możliwości produkcyjne, jakość pracy garbarni i zadano konkretny temat. Warunki mam tu wprost idealne, cisza, spokój, współpracownik z dużym doświadczeniem — musiałam pokazać się z dobrej strony. Powiem w tym miejscu może coś dziwnego — ale tak jest: z tymi ograniczeniami surowcowymi, z ubogim parkiem maszynowym — bo tak się zwykle mówi przy takich okazjach, kiedy pytają czy nie można inaczej — to wszystko prawda. Prawdą jednak jest i to, że właściwie wszystko zależy od inicjatywy, od konsekwencji i samozaparcia. Twierdzę, że wiele spraw można wygrać i że będzie to z olbrzymią korzyścią dla rynku.

— Może słów kilka o samej pracy projektanta...

— Najpierw musi być oczywiście pomysł. Dlatego właśnie uważnie śledzić trzeba wszystkie nowinki w tej dziedzinie, propozycje mody itp. Mamy tu w „Neptunie" prenumeratę katalogu „ARS SUTORIA", wiemy na bieżąco, co świat w branży obuwniczej proponuje. No a potem trzeba usiąść i narysować to na kopycie — przy jednoczesnym założeniu rodzaju materiału, nici, kolorystyki, szycia, podszewki, środków wypełniających itp. itd. Dogadujemy sobie szczegóły z konstruktorem, powstają szablony i wkrótce mamy gotowy wzór.

— Przepraszam, chciałbym w tym miejscu zapytać, czy wiedza zdobyta na uczelni znajduje tu zastosowanie? Absolwenci ostatnio jakby się zmówili — co drugi twierdzi, że musiał uczyć się praktycznie od nowa...

— A ja nie. To, czego dowiedziałam się w szkole, co opanowałam w swojej pracowni, szalenie mi teraz pomaga. Ja się autentycznie nigdy nie martwię, że nie podołam, że zrezygnuję. Może zrobię to raz lepiej, raz wyjdzie trochę gorzej — ale do zadania „startuję" bez obaw... Wróćmy jednak do poprzedniego wątku: jest wzór, co wcale nie oznacza, że taka będzie produkcja. Dokonuje się oceny, raz jeszcze sprawdza zabezpieczenie surowcowe, dokonuje przymiarki pod względem wytwórczym — czy nie za dużo operacji, czy nie będzie za drogo itp. Jak już przez te wszystkie sitka moja propozycja przejdzie, jak wszędzie oceny będą pomyślne — to dopiero jest koniec tego tematu. Biorę się wtedy za następny...

— ...a tymczasem zabrakło skóry w zaplanowanym kolorze i chcąc ratować produkcję zdecydowano się na inny. W sklepie mamy zatem do czynienia z szokującą kompozycją, wykonaną według projektu właśnie pani...

— Zaraz, zaraz. We wszystkich swoich poczynaniach, a mówię to często koleżankom i kolegom, powinien znaleźć się moment na potraktowanie gotowego wyrobu z pozycji klienta. Kupiłabyś sama coś takiego, — czy nie? Chodziłabyś w tym, czy też nie? Może to i głupie, ale bardzo pomaga. Przekonałam się sama wiele razy. Można więc tak pokombinować, żeby nie było upiornie. Połączono dwa nie dopasowane kolorystycznie elementy? A gdzie był w tym czasie projektant? Przecież można łączyć te kawałki w jednym kolorze, a efekt zdobienia wygrać jakimś szyciem, prawda? Będę się dalej upierała — cała sprawa polega w dużej mierze na chęciach. Czasami trzeba po prostu przypiąć się do sprawy, nie odpuszczać ani na krok...

— Dochodzimy w pewnym momencie do propozycji dyrekcji: nie mamy skóry, nie mamy barwnika, produkcji nie można zatrzymać. Czy i wtedy pani „nie odpuści"?

— Jeżeli w końcu ulegnę, to tylko wtedy, kiedy zostaną wyciągnięte i przemaglowane na wszystkie strony argumenty obydwu partnerów, tzn. mój i dyrekcji.

— A proszę powiedzieć w końcu — czyje pani interesy reprezentuje w zakładzie: klienta czy producenta. Płaci przecież za pracę fabryka, wobec tego jakaś lojalność powinna tu chyba obowiązywać, prawda?

— Jasne, że obowiązuje. I ja jestem lojalna. Tylko że interesy klienta i producenta dają się mimo wszystko pogodzić.

— Na drodze wymiany poglądów?

— Można to i tak nazwać. Kłócimy się czasami do upadłego. Do potężnego konfliktu jednak nigdy nie dochodzi, chociaż trudno ukryć, że niektóre rozmowy nie były zbyt sympatyczne...

— ...i wszystkie pani propozycje przechodziły?

— No, nie — jeżeli ja zaplanowałam taką ilość operacji, że trzeba by zatrudnić dodatkowo ileś szwaczek więcej, to wiadomo, że przegrałam. Wiem już o tym, że w pewnym momencie moje kompetencje się kończą, że ostatnie słowo należy do dyrektora produkcyjnego — on musi czasem decydować natychmiast, nie ma czasu na subtelności i dyskusje. Tu chodzi o parę tysięcy ludzi i o wielomilionową produkcję. Zdaję sobie przy tym wszystkim sprawę z tego, że mam za mało doświadczenia, żeby wszystkie argumenty kontra moim można było obronić. To przyjdzie z czasem...

— Dla aktora marzeniem jest Oskar, dla naukowca — Nobel. O czym marzy projektant obuwia?

— Żadnych marzeń! Sądzi pan, że ja mam czas na marzenia? W tej straszliwej gonitwie na takie rzeczy nie ma praktycznie miejsca... No, ale czasami, jak już komuś coś takiego się przytrafi, to zawsze jednakowo: idę sobie ulicą i widzę ludzi w obuwiu mojego projektu, z fabryki w której pracuję...

— ... a gdyby tak się stało, to wtedy pani...

— ... to wtedy uśmiechnęłabym się tylko i jeszcze byłoby mi bardzo przyjemnie.

— Jeszcze chwila o marzeniach — nie wpatrzyła pani sobie zakładu, w którym chciałaby pani pracować, który dałby szansę wyżycia się i prowadzenia twórczych poszukiwań?

— O, to jest w moim przypadku zupełnie niemożliwe. Jestem obecnie pracownikiem „Neptuna" i naprawdę tu jest mi dobrze. Na to pytanie mogłabym odpowiedzieć dopiero wtedy, gdybym przepracowała w każdym zakładzie minimum pół roku.

— Nie spotkała się pani nigdy z pytaniem, że skoro szewc bez butów chadza — to co dopiero ma powiedzieć tzw. przeciętny człowiek...

— Pytano mnie już o to. Odpowiedziałam, że aż tak źle chyba nie jest, boso nie chodzimy. Swoją drogą jednak rozumiem podtekst pytania i rozumiem ludzi — wybór w sklepach jest więcej niż skromny, czasami autentycznie nie ma na czym oka zatrzymać. Mam ochotę, chociaż w małym stopniu, te sytuację poprawić...

— Stanowisko projektanta czy — używając terminologii oficjalnej — specjalisty do spraw wzornictwa w opinii ogółu jest posadką wyjątkowo dobrze płatną. Czy można wiedzieć ile pani zarabia?

— Żadna tajemnica: siedem tysięcy osiemset złotych pensji zasadniczej plus rekompensata. Wszystko zgodne jest z przepisami, z aktualnymi tabelami wynagrodzeń.

— Dziękuję za rozmowę.

Zanotował:
DARIUSZ SŁOMA

EDWARD BRYL

Przylądek dobrej nadziei

W bliskim sąsiedztwie oddziału egzystuje w najlepsze rożen. Właścicielka obrotna, nawet w dzisiejszych kryzysowych czasach można zjeść tam gorącą kiełbaskę, kaszankę, napić się piwa. Niektórym pacjentom bardzo to odpowiada, chętnie wymykają się na „małe jasne". Ci już trochę podkurowani, w lepszej kondycji, próbują dalszych wycieczek do knajpy w Dłutowie. Zdarza to się jednak bardzo rzadko, gdyż za taki wyczyn chory natychmiast żegna się z oddziałem, jeśli oczywiście sprawka wyjdzie na jaw, a z reguły wychodzi. Bywa czasem, że taki kozak ma wyjątkowe szczęście i może imponować kolegom z sali, częściej opowiada przygodę żonie, i to już tego samego dnia...

Niektórzy zachowują się niepoważnie, po szczeniacku, wiadomo — palenie papierosów jest bezwzględnie zakazane, ale panom się zdaje, że lepiej wiedzą, co dla nich dobre. Starają się palić ukradkiem, w salach, w toaletach. Twierdzą też, iż od wódki nikt jeszcze zawału nie dostał. Ba, nierzadko różne swe dolegliwości przypisują bezalkoholowej diecie. Obiecują sobie, że po wyjściu stąd szybko nadrobią wszelkie zaległości.

Ale tak na serio, oddział cieszy się autentyczną dobrą sławą. To właśnie pacjenci ochrzcili go przylądkiem dobrej nadziei. Zdarza się, iż chorzy wypisują się na własne żądania ze szpitala i przyjeżdżają tutaj. Oczywiście, takie postępowanie nie jest akceptowane. Kryteria przyjęć są surowo przestrzegane.

29-łóżkowy Oddział Rehabilitacji Kardiologicznej w Hucie Dłutowskiej, ZOZ Bełchatów, woj. piotrkowskie, mieści się w piętrowej willi położonej w pięknym, starym parku. Budynek sprawia wrażenie przytulnego pensjonatu. Wewnątrz dużo drewna, ściany wyłożone boazerią, stare piękne szafy biblioteczne z kryształowymi szybami. Kręcone drewniane schody prowadzą na piętro. Atmosfery szpitalnej nie odczuwa się wcale. Pacjenci chodzą we własnych ubraniach, dresach. Rozkład dnia jest ściśle przestrzegany. Czas do obiadu wypełniają zabiegi, gimnastyka rehabilitacyjna. Potem można spacerować, korzystać z tv, biblioteki, prasy. Bywają i koncerty fortepianowe przy świecach.

Dr Lucjan Fluderski — ordynator oddziału: — „Ruch chorych jest duży, średnio trzystu pacjentów rocznie. Hospitalizujemy po zawałach mięśnia sercowego, z chorobą wieńcową, głównie po leczeniu szpitalnym. Pobyt trwa około czterech tygodni. Pacjenci, przeważnie mężczyźni, w wieku około czterdziestu lat i nierzadko poniżej, w zdecydowanej większości uzyskują znaczną poprawę. Oprócz leczenia farmakologicznego, rehabilitacji, staramy się stworzyć odpowiednią atmosferę — do chorych na serce trzeba podchodzić z sercem. Mamy ludzi z różnych środowisk społecznych: dyrektorzy, robotnicy, ostatnio coraz więcej przybywa rolników i w ogóle mieszkańców wsi. Zawał dawno już przestał być „dyrektorską chorobą". Trudne warunki życia, długotrwałe stresy, stały się przyczyną, że zatacza coraz szersze kręgi.

Nasz oddział obsługuje województwo piotrkowskie, sieradzkie i także Łódź... Posiada salę intensywnej opieki, jest dobrze, nowocześnie wyposażony. Brakuje tylko telemetru, aparatu, przy pomocy którego można obserwować czynność serca pacjenta na odległość, w trakcie spaceru, wchodzenia po schodach, itp. Działamy pod patronatem kliniki kardiologicznej AM w Łodzi. Raz w tygodniu przyjeżdża konsultant. Współpraca układa się bardzo dobrze.

Oprócz trzech lekarzy: ordynatora-kardiologa, Lucjana Fluderskiego, internisty, Haliny Ucińskiej i anestezjologa z drugim stopniem specjalizacji, Wandy Samborskiej-Herman, jest magister rehabilitacji kardiologicznej — Małgorzata Grzelińska. Pacjenci ćwiczą w kilku grupach, w zależności od stopnia zaawansowania choroby, niektórzy mają zaleconą gimnastykę indywidualną. Sześć pielęgniarek — oddziałowa plus pięć odcinkowych, doskonale przygotowanych, każda potrafi nie tylko zrobić Ekg, ale również bezbłędnie je opisać! Wszystkie, z wyjątkiem jednej, rozpoczynały tutaj zawodową karierę w 1976 roku — jest to data powstania oddziału. Tylko dwie są miejscowe, pozostałe dojeżdżają z Łodzi i Bełchatowa.

Urszula Wilkowiecka, 7 lat pracy — oddziałowa:

— „Atmosfera panuje u nas dobra, sprzyjająca spokojnej pracy i rehabilitacji pacjentów. Myślę, że zespół pielęgniarski również jest udany. Przydałaby się jeszcze jedna siła, etat czeka, ale są trudności ze znalezieniem kandydatki — wiadomo, dojazdy uciążliwe, a mieszkań na miejscu brak.

My zadowolone. Współpraca z lekarzami prawidłowa, żadnych zgrzytów, nieporozumień.

Szpital leży przy drodze Pabianice — Bełchatów. Przystanek jest oddalony o kilkaset metrów. Zwracano się wielokrotnie do Wydziału Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie Tryb., do dyrekcji PKS... wszystko na próżno. Personel korzysta z autobusów, a także pacjenci po leczeniu, z walizkami, muszą chodzić przeszło pół kilometra. Zdarza się, i to nawet często, że kierowca nie zatrzyma się na przystanku, nie zabierze tej jednej przemarzniętej pielęgniarki czy pacjenta.

Raz udało się sprawę załatwić pomyślnie i przystanek przenieść bliżej oddziału, ale nie podobało się to poniektórym mieszkańcom Huty Dłutowskiej, wykopali więc pewnej nocy słup sprzed szpitala i postawili w miejscu dla nich wygodnym. I tak pozostało do dziś. Nieważne, że chorzy po zawale, z bagażami, muszą pokonywać dużą odległość... Bezmyślność i głupota może któregoś dnia stać się przyczyną tragedii... Ale na to ponoć nie ma żadnej rady — miejscowy „naród" zadecydował, że chce mieć przystanek w środku wsi i już!

Może jednak znajdzie się rozwiązanie i to szybko, zanim któryś z pacjentów Oddziału Rehabilitacji Kardiologicznej nie przypłaci życiem. Można przecież przed szpitalem ustawić przystanek „na żądanie", a mieszkańcy wioski niech mają swój. Tak czy inaczej — kierowcy PKS muszą zatrzymywać się tutaj! Nie tylko w chwilach dobrego humoru, ale zawsze, gdy będzie trzeba!

Mimo trudnej sytuacji gospodarczej, oddział nie odczuwa poważniejszych braków. Jest trochę kłopotów z papierem do Ekg, strzykawkami i igłami jednorazowego użytku, z praniem bielizny, odzieży etc., gdyż nie posiada własnej pralni, musi korzystać z miejskiej w Pabianicach.

Najważniejsze, że praca przebiega bez zakłóceń, dyżurantów nie brakuje — są asystenci z łódzkiej AM, lekarze z Pabianic, Bełchatowa. Jest to oczywiście wynikiem dobrej renomy szpitala, atmosfery wzajemnej życzliwości wśród personelu i autentycznego zaangażowania dla dobra pacjentów. Oddział jest „oczkiem w głowie" lekarza wojewódzkiego, Jerzego Masłowskiego i dyr. ZOZ w Bełchatowie, Józefa Zochniaka. Istnieje od niedawna, w ciągu tych siedmiu lat w setki ludzi tchnięto nadzieję — przywrócono ich do aktywnego życia rodzinnego, zawodowego, wielu wręcz uratowano od śmierci.

Foto: M. Zajdler

Nie tylko dla wyjeżdżających za granicę

Celnik: tama czy sito?

Rozmowa ze ZBIGNIEWEM PRZYBYLAKIEM, dyrektorem Urzędu Celnego w Łodzi

— Jak najkrócej można byłoby scharakteryzować zasady działania urzędu celnego?

— Urząd celny w Łodzi jest jednym z 18 urzędów celnych działających w kraju. Zajmujemy się przede wszystkim sprawowaniem kontroli celnej obrotu towarowego z zagranicą, wymiarem i poborem należności celnych oraz ściganiem i zwalczaniem niektórych przestępstw i wykroczeń określonych ustawą karno-skarbową.

— Która z tych trzech prac sprawia wam najwięcej kłopotów?

— Może odpowiem nie wprost. Otóż do głównych naszych zadań należy sprawowanie kontroli celnej obrotu towarowego z zagranicą. Tu trzeba wyróżnić jeszcze sprawowanie kontroli obrotu handlowego, czyli wykonywanego przez przedsiębiorstwa handlu zagranicznego w ramach monopolu państwa w dziedzinie handlu zagranicznego. Krótko mówiąc: import i eksport. Działamy na terenie pięciu województw: miejskiego łódzkiego, sieradzkiego, piotrkowskiego, skierniewickiego i płockiego.

— Ilu ma pan celników do wykonywania tej pracy?

— Nasi funkcjonariusze zajmują się bezpośrednio kontrolą importu. Jeśli chodzi o eksport, to jedynie poważniejszymi zagadnieniami. Natomiast dużą część naszej pracy zlecamy tak zwanym agentom celnym, którzy wykonują czynności celne w naszym imieniu. Oni to kontrolują przesyłki wysyłane przez przedsiębiorstwa w eksporcie. Tak więc jest to spora armia ludzi.

— Dobrze, ale paczki za granicę i z zagranicy dostarcza poczta...

— To prawda, przewóz przesyłek należy do przewoźnika, w tym przypadku jest nim poczta. Ale kontrola celna — to już nasza sprawa. Łódź przyjmuje paczki z określonego kierunku: z RFN. I to dla całego kraju.

— Przejdźmy więc do aktualiów: w dniu 15 kwietnia br. weszły w życie nowe przepisy celne. Co one wprowadzają nowego?

— Minister handlu zagranicznego wydał rozporządzenie wprowadzające nowe taryfy celne w przywozie i wywozie. Zawierają one zestaw towarów i stawek celnych pobieranych za te walory przez urząd celny. Oprócz więc kontroli legalności obrotu towarowego, sprawdzamy, jakie towary przychodzą i wymierzamy, jeśli to jest przewidziane w taryfach odpowiednie cło.

— Urzędy celne dotąd także wykonywały te same czynności, więc po co nowe taryfy?

— Ależ taryfy celne nie są niczym nowym. Nastąpiła jedynie ich zmiana. Poprzednia taryfa celna wywozowa zawierała bardzo dużo ograniczeń typu administracyjnego. To znaczy: na wywóz towarów wymagane było pozwolenie wywozu. Przy większości towarów, jeśli chciało się je wysyłać np. drogą pocztową, wymagano pozwolenia urzędu celnego. Obecnie, zgodnie z nową taryfą celną, ten instrument administracyjny, jakim były pozwolenia, zastąpiono instrumentem ekonomicznym, czyli nowymi i nieraz dość wysokimi stawkami celnymi. Dlaczego wysokimi przy niektórych towarach? Dlatego że tych towarów nie ma na naszym rynku. Ta wysoka stawka ma więc chronić nasz rynek wewnętrzny przed wywozem nieograniczonym towarów za granicę. Skoro jednak ktoś decyduje się na ich wywóz, musi ponieść dodatkowe koszty.

— Czyli, że obecnie pozwolenia na wywóz pewnych towarów uległy likwidacji.

— Niezupełnie. Pozwolenia nadal są wymagane przy wywozie towarów szczególnie deficytowych, takich jak np. żywność, dzieła sztuki wytworzone przed 1945 rokiem oraz towarów w ilościach przekraczających ilości upominkowe, natomiast w pozostałych przypadkach — obowiązuje stawka celna.

— Dobrze, ale jak określić ilość towarów wywożonych za granicę, jako upominkowe, a jakie kryteria stosujecie, by towar zakwalifikować jako przedmiot handlu?

— Po prostu działa tu logika i dokładna znajomość przepisów.

— A czy są towary, które można wywieźć za granicę bez cła?

— Są, np. ozdoby choinkowe, kompletne stroje ludowe, wyroby spirytusowe...

— Ile się chce?

— Nie, ale w ilościach nie wskazujących na ich handlowe przeznaczenie.

Chciałbym zauważyć, że przy wywozie towarów drogą pocztową wymiar i pobór cła w imieniu urzędu celnego sprawuje poczta. Czyli, jeśli ktoś chce wysłać paczkę za granicę, to idzie na pocztę i tam dokonują określenia wysokości cła i pobierają odpowiednią opłatę. Natomiast jeśli wymagane jest pozwolenie na wywóz wspomnianych już przeze mnie towarów, wówczas takie pozwolenie trzeba uzyskać w urzędzie celnym. I dopiero później można z przesyłką udać się na pocztę. Chciałbym tu dodać istotny szczegół: wszystkie przesyłki nadane na poczcie, za które pobrano już opłatę celną, są ponadto kontrolowane przez urząd celny.

— Jakimi kryteriami kieruje się celnik dopuszczając pewne towary do wywozu podróżnemu?

— Celnik kieruje się takimi przesłankami: rodzaj przedmiotów, wiek i zawód osoby przekraczającej granicę, porę roku, cel, kierunek, sposób odbywania podróży, zwłaszcza zaś okoliczność czy przedmioty są lub były potrzebne tej osobie w czasie odbywania podróży, a także na czas pobytu za granicą.

Foto: M. Zajdler

— Zbliża się lato, setki tysięcy Polaków udadzą się na wypoczynek za granicę. Jakie niespodzianki mogą ich czekać ze strony celników?

— W tym zakresie nowe przepisy niczego nie zmieniają. Turysta może wywieźć jak dotychczas, przedmioty potrzebne mu na czas podróży i pobytu za granicą, może wywieźć ponadto przedmioty takie, jak magnetofon, radio turystyczne, turystyczny odbiornik tv, suszarkę do włosów itp., pod warunkiem, że wszystkie te przedmioty przywiezie z powrotem do kraju.

— Więc po staremu trzeba to wszystko wpisać do deklaracji celnej na granicy, czy tak?

— Nie, deklaracja jest ustna, pisemnych już nie ma. I to w zupełności wystarcza.

— I celnik będzie pamiętał, co zgłosiłem wyjeżdżając? Przecież ja wcale nie muszę wracać tym samym przejściem granicznym...

— Funkcjonariusz celny albo uznaje, że zgłoszona ustnie deklaracja mieści się w granicach dozwolonych przepisem, albo uzna, że trzeba zastosować zwolnienie w ramach tzw. upominków. Bowiem każdy podróżny może zabrać ze sobą taką ilość upominków, która nie przekracza 1.000 zł ich wartości. Natomiast wszystko, co tę sumę przekracza, podlega oclenlu.

— Podróżny ma na ręku złoty zegarek, obrączkę, itp., co wtedy?

— Każdy ma prawo wywieźć ze sobą przedmioty osobistego użytku, natomiast jeśli chodzi o biżuterię, to tylko 50 g, pod warunkiem, że zostanie ona przywieziona do kraju z powrotem. Można wywieźć papierosy, alkohol, odzież, itp., czyli to wszystko, co jest niezbędne w podróży. Jednakże chcę zwrócić uwagę wyjeżdżających na to, że do innych krajów obowiązują inne, niż nasze przepisy i trzeba się do nich stosować.

— Pomówmy zatem o szczegółach.

— Zwalnia się od cła przedmioty osobistego użytku potrzebne na czas podróży i na pobyt za granicą. Chodzi tu o odzież, obuwie, bieliznę, przybory toaletowe, leki, środki sanitarne i wyroby kosmetyczne, środki spożywcze na czas trwania podróży i pobytu za granicą, w tym: mięso, ryby i ich przetwory do 2 kg łącznie, tłuszcze zwierzęce i roślinne — do 1 kg łącznie, przetwory mleczne także do 1 kg łącznie, czekolada i wyroby czekoladowe łącznie do pół kilograma, kawa naturalna do 100 g, ryż do 1 kg, tak samo cukier. Wszystko to dotyczy norm na jedną osobę. Natomiast wyroby tytoniowe — 250 szt. papierosów, albo 50 sztuk cygar, albo 250 g tytoniu. Jeśli chodzi o alkohol, to praktycznie rzecz biorąc, jest tu spora rozpiętość. Zależy od tego, kto wywozi, w jakim celu i na jak długo wyjeżdża, itp. Właściwie do 5 l alkoholu można wywieźć bez problemu. Przypominam, że chodzi cały czas o ruch osobowy. Jednak nasz podróżny musi się liczyć z tym, że są kraje, gdzie przywóz alkoholu jest bardzo ograniczony, lub wręcz zabroniony. Dlatego trzeba zawsze się upewnić, jak tę sprawę traktują przepisy celne kraju, do którego chce się jechać.

— Jadąc za granicę własnym samochodem zawsze zabieram sporo części zamiennych...

— I dobrze pan robi, nie będzie pan wydawał dewiz na ich zakup w razie jakiejś awarii. Niezbędne części zapasowe nie podlegają ocleniu. Można także przywieźć i wywieźć psy, koty, o ile mają odpowiednie zaświadczenie służby weterynaryjnej. Jeśli, dajmy na to, za granicę wyjeżdża lekarz, to może zabrać ze sobą niezbędne narzędzia lekarskie, każdy podróżny może zabrać dwa aparaty fotograficzne i jeden wąskotaśmowy aparat filmowy oraz 24 klisze lub 10 rolek błon do każdego aparatu i 10 rolek taśmy filmowej o szerokości 16 mm do aparatu filmowego, może np. przewozić gitarę, przenośny gramofon i 10 płyt. Ponadto każdy turysta może przewozić ze sobą sprzęt sportowo-turystyczny: namiot, śpiwór, materac, rower, broń myśliwską lub sportową, o ile ma na nią pozwolenie, itp. Ale wszakże pod warunkiem, że wszystko to przywiezie ze sobą z powrotem. Jeśli nie — wówczas stosuje się odpowiednie sankcje celne.

— Czy nic więcej nie można wywieźć?

— Można. Upominki w granicach 1.000 zł. Natomiast przywieźć takich upominków może za 6.000 zł, a jeśli ktoś przebywał za granicą ponad trzy miesiące, to tych upominków może przywieźć za 12.000 zł. I najważniejsze: każdy może przywieźć do Polski każdą ilość towarów. Tu nie ma żadnych ograniczeń z wyjątkiem kilku pozycji, na których przywóz wymagane jest pozwolenie. Z jednym wszakże zastrzeżeniem, że wszystko, co będzie wykraczać ponad normy bezcłowego przywozu, zostaje oclone. I tak np., jeśli ktoś przywozi sto kilogramów kawy, to 5 kg z tego będzie miał zwolnione od cła, zaś za każdy następny kilogram będzie musiał zapłacić cło w wysokości 1.000 zł. Tu już działa nowa taryfa celna.

— Proszę zatem o jeszcze kilka przykładów z tej nowej taryfy.

— Proszę bardzo. Zacznijmy od samochodów. I tak: samochody osobowe, również specjalistyczne, pochodzenia polskiego — za pierwszy taki samochód przywożony do kraju płaci się 150 zł za 1 kg, za następny samochód już 220 zł za 1 kg. Tu trzeba wyjaśnić, co to znaczy pierwszy samochód. Otóż jeśli odbiorca samochodu, ani nikt z jego najbliższej rodziny nie przywiózł do Polski w ciągu ostatnich trzech lat innego samochodu osobowego, wówczas uznaje się, że samochód wwożony jest jego pierwszym. Natomiast inne samochody produkcji zagranicznej z silnikiem spalinowym, samozapłonowym do 1.300 ccm — cło za nie wynosi: za pierwszy 150 zł/kg, za następny — 220 zł/kg, do 1.800 ccm — za pierwszy 200 zł/kg, za następny — 300 zł/kg, powyżej 1.800 ccm — za pierwszy 370 zł/kg, za następny 550 zł/kg. Natomiast za samochody z silnikiem spalinowym o zapłonie iskrowym, niskoprężne, cło kształtuje się tak: do 1.300 ccm — za pierwszy 300 zł/kg, za następny 450 zł/kg, do 1.800 ccm: za pierwszy — 370 zł/kg, za następny 550 zł/kg, powyżej 1.800 ccm: za pierwszy 450 zł/kg, za następny 670 zł/kg.

— Jeśli ktoś będąc za granicą zakupuje tam samochód produkcji polskiej, czy wówczas opłaca cło?

— Cło jest związane z przekroczeniem granicy państwa. Jest rzeczą obojętną, kto nabył samochód, ważne jest czy ten samochód przekracza naszą granicę państwową. I od tego pobiera się cło.

— Jak wygląda obecnie sprawa skórzanego obuwia, futer, itp?

— Obuwie skórzane można każdorazowo przywieźć bez cła 10 par, za każdą parę następną płaci się już 200 zł, odzież skórzana — za 5 kg 300 zł cła, za każdy kilogram powyżej tego już 900 zł; odzież futrzana i wyroby futrzarskie ze skór bobrów, fok, kun, lisów, karakułów, popielic, norek, szynszyli, wyder, soboli i gronostajów podlega ocleniu w wysokości 6.000 zł za każdy kilogram do 4 kilogramów włącznie, zaś powyżej tego każdy następny kilogram już kosztuje 15.000 zł cła. Natomiast wyroby z innych skór futrzanych kształtują się następująco: za odzież — 8 kg jest bez cła, za każdy następny kilogram bierze się 5 tys. zł. Pozostałe wyroby futrzarskie: do dwóch kilogramów są bez cła, każdy następny kilogram wynosi 3.000 zł.

— Jest dość duża tolerancja w wywozie alkoholu z Polski. Czy taka sama tolerancja jest, gdy się go do nas przywozi?

— Do Polski można przywieźć bez cła 1 butelkę alkoholu, do jednego litra. Jeśli jest go więcej, to za wyroby winiarskie pobiera się opłatę 50 zł od każdego kilograma, zaś za pierwszy litr spirytusu lub wyrobów spirytusowych płaci się 500 zł, za każdy następny już 1.000 zł.

— A czekolada, kakao, herbata?

— Można wwieźć 5 kg czekolady bez cła, każdy kilogram powyżej płaci się 1.000 zł. Kakao — 3 kg bez cła, 500 zł za każdy następny. Herbata — 3 kg bez cła, każdy następny 500 zł. Pieprz — 0,5 kg bez cła, za każdy następny kilogram już 1.000 zł opłaty celnej. Bez cła można wwozić żywność.

— Jak kształtuje się opłata celna za tkaniny, włóczkę, bieliznę, rajstopy itp.?

— Tkaniny bawełniane i bawełnopodobne — 5 kg bez cła, każdy następny kilogram kosztuje 300 zł, tkaniny wełniane i wełnopodobne — 5 kg bez cła, za każdy kolejny kilogram już 800 zł, jedwabie i jedwabnopodobne — 2 kg bez cła, każdy kolejny kilogram — 800 zł opłaty. Bielizna osobista — 10 kg bez cła 600 zł za każdy następny kilogram. Wyroby pończosznicze, takie jak rajstopy i rajtuzy — 20 sztuk bez cła, za każdą następną sztukę 100 zł opłaty celnej.

— Jak nowa taryfa potraktowała leki?

— Są bez cła i w każdej ilości. Ale tu pewna uwaga: przywóz pewnych leków do Polski jest ograniczony, lub nawet zakazany ze względu na ochronę zdrowia obywateli. Posłużę się przykładami: nie wolno wwozić leku pod nazwą tylenol, zomax lub leków zawierających w swym składzie cyklamat.

Tak więc, na dobrą sprawę, nie ma ograniczeń w przywozie do Polski żadnych towarów ze względu na ich rodzaj czy ilości, tylko trzeba dokonać odpowiedniej opłaty celnej, zgodnej z ostatnim rozporządzeniem wydanym przez ministra handlu zagranicznego.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

FOTO: IWONA BARTOSIK

PARYŻ W MAJU

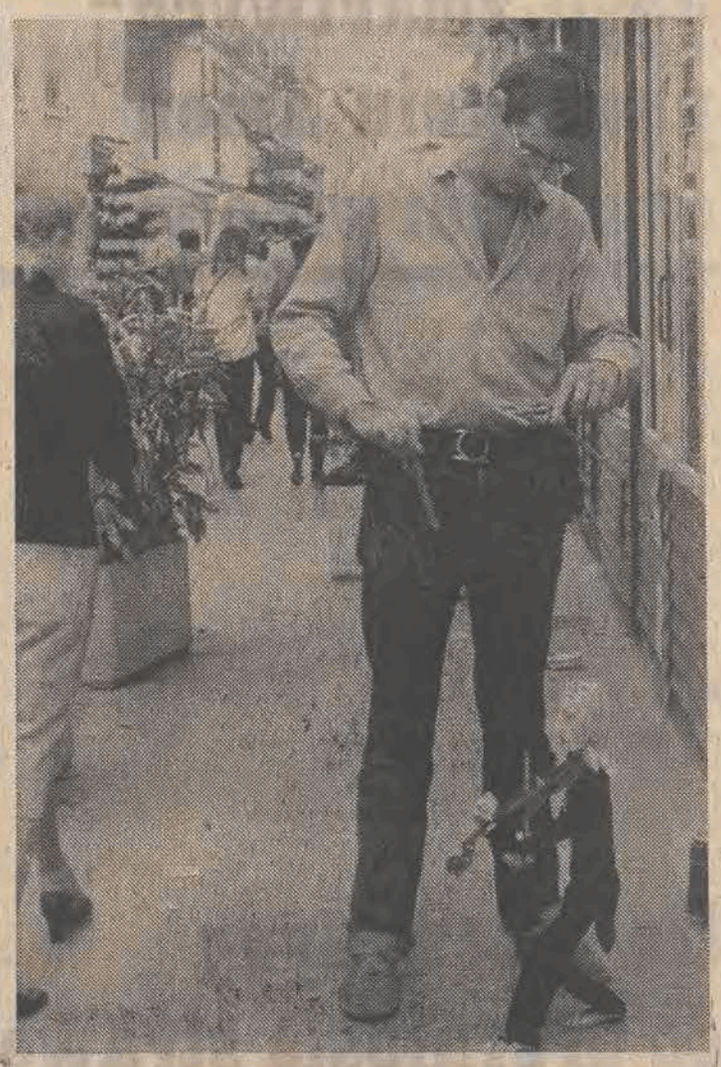

Wirydarz poetycki

Zygmunt Marczewski

Jego zmartwych-powstaniu amen czyli Norwidowi

Uszedłeś cały chwytając się belki spróchniałej
w niej gwóźdź
bo rozpływałeś się „jak szkło w błękicie"
w sercach i umysłach przez wieki
nie zaś w sto lat po śmierci —
belka twardniała twardniał i gwóźdź
„jak w ramionach krzyża"
Sto lat jak Krzyż, jak znak zbawienia —
nad polską koroną z łez
w niebie pochylony płaczesz
i wołasz Chryste elejson
nad kartą historii coraz to głośniej
jakby rosą w trumny
Krzyż się pali a świat trwa
jakim był —
więc gdzie ta śmierć która naprawdę umiera
jeden bławatek wspomnień śpiewam
przechodzące niemowlę mówiło mi
że poznaje kwiatek sprzed swego narodzenia

Do dziewczyny co przyniosła strawę

Urszuli K.

Przybiegłaś bez rękawiczek w rozterce rozpięta
bałem się dotknąć głosem w jednej chwili
odleciały słowa ptaki z różnych źródeł
jakże zimna mowa kiedy czuję tętno
Przybiegłaś — to nieważne z czym, po co, dlaczego
nieważny jest zachwyt drogi gdy zakręca
pod ramiona lasu pod brzeg czystej tęczy
Dobroć masz w ręce prawej a w lewej garść marzeń
równoważą się życiem na szalce rozsądku.
Twój obraz się miesza z gronem apostolskim
z modlitwą poety o wyraz najprostszy
Kołysałaś wspomnienie o córach z Kariatis
jakże wiotkie cienie w biodrach z winorośli
dźwięk po tobie pozostał jak ton z gwiazdy wzięty
jak leżące jabłko pośród ludzkich kości
i jak chorał żywych nad miłością świętą.

Łódź, listopad 1982 r.

Feliks Rajczak

Kalonka

Odchodzi z mej pamięci słowo
kalonka
— Gołębie grzeją się na kalonce —
mówił ojciec
— Kalonka łysieje —
i wnosił po drabinie kosz perzu
i układał wzdłuż czuba słomianego dachu
Chodził po niej kominiarz
i brat mój pięcioletni
który wybiegł na dach rodzinnego domu
i popatrzył stamtąd na świat —
najczulszą i najsłoneczniejszą okolicę
Dziadek z sercem na obojczyku wszedł po wnuka
i zniósł go z dachu na ziemię
do matki która ze strachu umierała
by z wąskiej ścieżki kalonki
nie spadł jej najmłodszy syn
urodzony w czasie wojny
z którym powróciła z obczyzny
z którym — o czym może nie przeczuwała —
zamieszka w murowanym krytym papą domu

Marek Błaszkowski

* * *

Kiedy schną usta, słabną ręce
i niepowetowane szkody
leciutko wbiega rudy księżyc
na zabliźnioną taflę wody
Kiedy schną usta, żółknie trawa
i asfalt goi brzegi ran
na kartofliskach i na stawach
Księżyc powtarza — jestem sam
Ogląda lustro nieba ziemi
lecz w złączach kształtów widzi siebie
choć jeszcze trwa karnawał cieni
i błyszczy lasów gęsty grzebień
Choć jeszcze trwa, gdy słabną ręce
i asfalt liżą samochody
to jest jak wizja, jak pęknięcie
na tafli lustra tafli wody
a kiedy wreszcie zjawy miną
i pójdą w nieszkodliwy tan
to przeglądając się w równinach
Księżyc powtórzy — jestem sam.

9.04.1983 r.

Egzotyczny i zarazem swojski, owiany nostalgicznym urokiem tego co przeminęło, jest dla nas małomiasteczkowy folklor żydowski krajów wschodniej Europy. Bezprzykładna zbrodnia, która się na tych ziemiach rozegrała, wymazała jego żywe ślady, pozostał jedynie literacko-artystyczny przekaz i tylko jeszcze dzięki niemu mogą dziś zaspokoić swoją ciekawość dzisiejsze pokolenia, ulegając powszechnej fascynacji obrazem świata, który odszedł. Rekonstruuje się więc zapomniany już, a przyprószony świadomością tragedii wizerunek minionego życia, wytwarzając przy tym wokół niego, jak to zwykle w takich razach bywa, pewien mit.

Oczywiście musical nie jest najgłówniejszym czynnikiem mitotwórczym, ale przecież „Skrzypek na dachu", którego tytuł zaczerpnięto ze słynnego obrazu Chagella, jest taką właśnie sentymentalną reminiscencją, przez filtr oddalenia oczyszczoną z tego, co w życiu każdej społeczności bywa przyziemnie szare i niekiedy brzydkie, upoetyzowaną według tego samego wspomnieniowego wzorca co choćby (pomijając wszelkie różnice!) nasz „Pan Tadeusz". W „kraju lat dziecinnych" wszyscy dobrzy byli i zacni, najwyżej z drobnymi wadami i śmiesznostkami, ale nie skłóceni wewnętrznie żadnym rozdzierającym konfliktem, całe bowiem zło i zagrożenie przychodziło z zewnątrz, spoza kręgu własnych, tradycyjnych cnót.

„Graj skrzypku, graj!"

Tym też tropem poszedł librecista, znajdując w postaci mleczarza Tewiego, bohatera opowiadań Szolema Alejchema pogodnie sceptyczną filozofię moralną, na zasadzie dowolnej czy nawet przewrotnej interpretacji Talmudu, w zgodzie jednak z odczuciami współziomków zamieszkujących ukraińską mieścinę. Całe to środowisko, łącznie nawet z miejscowymi ukraińcami, ba, nawet z carskim policjantem, obdarzył autor libretta ciepłymi uczuciami i wyrozumiałością. Bo nawet ów policjant, który musi zaaranżować pogrom ludności żydowskiej, na wyraźne polecenie kijowskiej czy petersburskiej zwierzchności, spełnia swoją powinność, jako przykry mus, toteż i ofiary jego brutalności winią raczej niepojęty los, któremu podlegają.

Na realizacji scenicznej I aktu zaciążyło jednak w moim odczuciu groteskowo-kabaretowe ujęcie żydowskiego środowiska. Postacie Żydów, jak choćby w zbiorowym tańcu, mają ruchy ni to marionetek, ni to pajacyków, trochę w tym duchu, w jakim dawno temu przedstawiano w rozrywkowych widowiskach Chińczyków, co to „goli łeb i z tyłu warkocz ma", czy też innych „kolorowych" mających widownię swoją obyczajową inności rozśmieszać. Innymi słowy, zalatywało trochę szmoncesem, od którego odżegnywał się — i słusznie — autor polskiego przekła-

Od lewej: Bernard Ładysz (gościnnie) — Tewie, Zbigniew Bobowski — Lejzor Wolf, Zbigniew Waloch — Mordka.
Foto: Chwalisław Zieliński

du. A przecież w samym tekście musicalu tkwi już pokaźna dawka komizmu sytuacyjnego i znakomitego dowcipu słownego, obyłoby się więc bez dodatkowych zabiegów, prowadzących do pewnego spłaszczenia ludzkiego wymiaru postaci.

Oparł się temu skutecznie **BERNARD ŁADYSZ**, który potraktował postać **Tewiego** ciepło i z komicznym umiarem, filozoficzne uwagi o życiu wypowiadał w sposób pozyskujący głębszą sympatię dla swojego bohatera i uzasadniając autorytet, jakim ubogi mleczarz cieszył się nie tylko wśród współwyznawców, autorytet człowieka z konieczności roztropnie przebiegłego, ale z gruntu prawego, wrażliwego na cudze smutki. Szkoda, wielka szkoda, że zanim się rozśpiewał nie zaprezentował dość wysokiej formy wokalnej i, szczerze mówiąc, tylko dzięki swym umiejętnościom śpiewaczym i wielkiej muzykalności przypominał nam chwilami, że w jego osobie mieliśmy jednego z najwspanialszych polskich śpiewaków, o rzadko spotykanym pięknie głosu.

Ujmującym, naturalnym aktorstwem i miłym śpiewem wyposażyła postać **Goldy**, żony Tewiego **GRAŻYNA KRAJEWSKA**. Wyróżniającą się rolę, doskonale wystudiowaną w ruchu i geście, nie przekraczającą dopuszczalnych granic charakterystyczności stworzył **ZBIGNIEW BOBOWSKI**, grający rzeźnika **Lejzora**. Również trafnie zarysował postać pełnego delikatności krawca **Motela JERZY CZAPLIŃSKI**; wspólnie z **Małgorzatą Wilk** stanowili przekonującą parę zakochanych. Przeszarżował z żydowską rodzajowością, grający karczmarza **Mordkę**, **ZBIGNIEW WALOCH**. Niewdzięczne zadania w roli pozytywnego bohatera, a jednocześnie oderwanego od życia doktrynera miał **ADAM KOZIOŁEK** jako student **Perczyk**, wyszedł z tego jednak obronną ręką. Z powodzeniem, choć wyjątkowo zbyt mało w „żydowskim stylu" zagrała energiczną swatkę **Jentę ANNA GĄBICKA**.

Straszyły ludzi jak trzeba w roli pozagrobowych zjaw zarówno wyglądem i ruchami, jak i przenikliwym brzmieniem głosów **IRENA HARASIM** (jako babcia **CAJTLA**), i jako nieboszczka żona Tewiego **ILONA HERYK**. Udaną gromadkę córek Tewiego, o zróżnicowanych indywidualnościach (oprócz wspomnianej Wilkówny) tworzyły **HANNA MATYSKIEWICZ, TERESA MULAWA, HALINA PITRY-PTASZEK** i **HANNA KLIMCZAK**, ale w natłoku scenicznych wrażeń umknęło mi — jak kto śpiewał, a miały z tym trochę do roboty i to z powodzeniem. Trudno zresztą przy tak licznej obsadzie wykonawców i blisko czterogodzinnym przedstawieniu zapamiętać wszystkich i wszystko, wspomnę tylko jeszcze o doskonałej partii wokalnej **Fiedki (IRENEUSZ JAKUBOWSKI)** i sprawiającej satysfakcję grze solowej **Skrzypka**, w wykonaniu **TOMASZA BARTOSIAKA**, który wykazał wirtuozowskie zacięcie w końcowej partii, w noc pogromu.

Wracając do gry scenicznej: im dalej, tym było lepiej, ów bowiem wspomniany przeze mnie początkowy dysonans pomiędzy treścią utworu a przyjętą konwencją jej aktorskiego przedstawiania, zwłaszcza w sferze ruchowej zanikał stopniowo dostrajając się do wydarzeń, przepełnionych lękiem i niepokojem. Pięknie wydobyto nastrój przejmującego skupienia w czasie weselnej uroczystości.

Bardzo sprawnie i energicznie dzierżył batutę debiutujący w tej roli dyrektor **RAJMUND AMBROŻIAK**, choć tu i ówdzie dało się słyszeć rozmijanie się orkiestry z solistami, za co ewidentnie ponosili winę niektórzy spośród nich. Czystością i pełnią brzmienia zwracał na siebie uwagę chór. Duże uznanie należy się pomysłowej i harmonizującej z nastrojem sztuki scenografii.

Wyjątkowo trudne tym razem zadania aktorskie większość zespołu pokonywała w sposób co najmniej zadowalający i rokujący nadzieję, że dzięki przetarciu się przez odmienną niż zazwyczaj konwencję gry i mówienia tekstu również wykonanie klasycznych operetek wolne będzie w przyszłości od sztampowych nawyków. Ujawnienie się tych możliwości scenicznych jest z pewnością zasługą wytrawnej reżyserki operowej, o wielkim wyczuciu muzycznej sceny. Mimo początkowo zgłoszonych zastrzeżeń cieszę się, że dała się pozyskać do realizacji tego ambitnego musicalu, opartego na wartościowej muzyce.

Zaskoczyło mnie jedynie, że w dalekim bogatym kraju rozpisano partię orkiestry na stosunkowo ubogo brzmiący skład instrumentalny. Może tam też oszczędzają?

Jerry Bock — Joseph Stein „Skrzypek na dachu" przekład: Antoni Marianowicz. Inscenizacja — Maria Fołtyn i Marian Stańczak, reżyseria Maria Fołtyn, kierownictwo muzyczne — Rajmund Ambroziak, scenografia — Marian Stańczak, choreografia — Krystyna Gruszkówna, kierownictwo chóru — Roman Paniuta. Prapremiera polska 8 maja 1983 r. w Teatrze Muzycznym w Łodzi.

JERZY KWIECIŃSKI

Doktor Judym czyli koty za płoty

DOKTOR JUDYM, przedstawienie, którym zainaugurowała swą działalność nowa scena łódzka, jaką jest Teatr Studyjny, to spektakl — by nie użyć ostrzejszego sformułowania — zdecydowanie słaby.

Fakt, iż jego rzeczywiście szybka realizacja podyktowana została koniecznością zabezpieczenia scenie do niedawna noszącej imię Juliana Tuwima (na której z jej dotychczasowego repertuaru słusznie nie pozostało już ani śladu) zajęcia do końca sezonu mógłby oczywiście usprawiedliwić jakoś tę słabość, gdyby nie to, że „Doktor Judym" jest jednak faktem, a teatr zdający się prosić o ulgową taryfę, o ile wiem nie stosuje jej wobec widzów. Ci bowiem płacą za bilety ceny normalne. Można by oczywiście wejść z odbiorcami teatralnej sztuki w jakieś na ten temat pertraktacje i zaproponować im ceny umowne, które tym razem musiałyby być jednak niższe od urzędowych, ale o tym z Teatru Studyjnego jakoś nie słychać.

Jeśli zatem skłonni będziemy zamknąć sprawę „Doktora Judyma" refleksyjnym określeniem, iż to tylko „pierwsze koty za płoty", to niech nam wolno będzie prosić dyrekcję tej sceny by — skoro już pozwoliła im przebiec sobie drogę — obróciła się jeszcze ze trzy razy przez lewe ramię i z nieco większym namysłem czyniła następne na tej drodze kroki.

Namysłu trzeba tej scenie wiele. Wymaga go zarówno komponowanie repertuaru, jak i jego realizacja.

„Doktora Judyma" (przypisanego na okładce programu Stefanowi Żeromskiemu, choć autor „Ludzi bezdomnych" sztuki tej nie napisał i napisać by zapewne nie chciał, bo w „Turoniu", „Przepióreczce", „Róży" i „Grzechu" dał świetne próby zgoła odmiennego rozumienia istoty dramaturgii, znajomości praw rządzących sceną, umiejętności konstruowania dialogu i budowania zarówno poszczególnych postaci, jak i dramatycznych między nimi konfliktów) przygotowano bez większego namysłu, co pozwalam sobie stwierdzić po obejrzeniu spektaklu.

Upraszczająca głęboką wymowę „Ludzi bezdomnych" adaptacja tego dzieła dokonana przez Jana Machulskiego, reżyseria sprowadzająca się do ruchowej organizacji przestrzeni i gubiąca zarówno konflikty międzyludzkie, jak i dramaty sumienia pary bohaterów oraz złe, pretensjonalne teksty ballad autorstwa Barbary Mineyko i nader słabe aktorstwo — to wszystko złożyło się na wątłą całość, której scenie tej — daję słowo — nie będziemy pamiętać, jeśli w przyszłym sezonie z postulowanym tu już większym namysłem zabierze się ona do pracy.

Mam nadzieję, iż ostre oceny „Doktora Judyma" kierownictwo Teatru Studyjnego przyjmie z wiarą, iż wbrew pozorom dyktuje mi je życzliwość dla jego zamiarów, głęboka troska o kształt, profil i poziom nowej łódzkiej placówki teatralnej i równie głębokie przekonanie, że „jutro będzie lepiej".

Zamiary deklarowane we wcześniejszych wypowiedziach prasowych Jana Machulskiego wydają mi się szlachetne, a interesujący kształt Teatru Studyjnego przy jego znanym zapale i zaangażowaniu — możliwy do osiągnięcia. Byle tylko te nieszczęsne koty nie zechciały wrócić!

EWA PANKIEWICZ

Na zdjęciu: Jolanta Nowińska — Joasia, Grzegorz Forysiak (PWSFTviT) — Judym.
Foto: Jerzy Neugebauer

Z półki recenzenta

POLITYCY I WOJSKOWI

Książka nosi podtytuł: „Szkice z dziejów drugiej wojny światowej", co gwarantuje jej poczytność i popularność. „Politycy i wojskowi" — to historyczne szkice dotyczące naszych dziejów najnowszych, budzących po dziś dzień sporo kontrowersji. Autor postawił sobie jedno, moim zdaniem, ważkie pytanie: jak to się mogło stać, że III Rzesza, w końcu państwo nie przewyższające przed 1939 r. swoich przeciwników ani potencjałem gospodarczym, ani militarnym, mogła odnosić tak wielkie i błyskawiczne sukcesy? Jak to się stało, że trzeba było kilku lat, by wysiłkiem narodów sprzymierzonych, położyć kres brunatnej zarazie zalewającej Europę?

Tadeusz Rawski jest oficerem WP, pracownikiem naukowym Wojskowego Instytutu Historycznego i swoją książkę napisał nie tylko z pasją zawodowego żołnierza, ale z drobiazgową uczciwością historyka badającego okres naszych dziejów.

Tadeusz Rawski: Politycy i wojskowi. KiW 1982. Str. 348. Cena 100 zł.

OKINAWA 1945

„Okinawa 1945" ukazała się w serii „Historyczne bitwy", a jej tematem jest „największa w latach drugiej wojny światowej amerykańska operacja zaczepna na Pacyfiku". Zdobycie przez Amerykanów Okinawy decydowało o powodzeniu działań wojennych na Dalekim Wschodzie. Wyspa ta była „oknem" na Chiny, Wyspy Japońskie, Filipiny i Wietnam. Jej znaczenie strategiczne było bezsporne; stąd tak zaciekły opór Japończyków, którzy założyli tu swoją bazę morsko-lotniczą, a w 1945 r. stała się ona ostatnim bastionem obrony Japonii.

Książka jest relacją z przygotowań wojsk amerykańskich przed atakiem na Okinawę oraz opisem jednej z najzacieklejszych bitew w tej części świata, w którą USA zaangażowały najwięcej sił i środków, a Japończycy przeciwstawili tym siłom i środkom swój fanatyzm i pogardę śmierci.

Antoni Wolny: Okinawa 1945. Wyd. MON 1983. Str. 222. Cena 80 zł.

PAMIĘTNIK PACJENTA

Jest to książka-pamiętnik napisana przez człowieka zagrożonego śmiercią na skutek nieuleczalnej choroby nerek. Edmund Marszał napisał ją z wielką pasją, a jednocześnie jest w niej spokój kogoś, kto świadom swego stanu, stara się widzieć życie w całej jego urodzie i harmonii. I chociaż ostatnie lata autor spędził w szpitalach i klinikach, przechodził setki uciążliwych zabiegów, to jego zadziwiająca pokora i ufność do ludzi w białych fartuchach jest godna podziwu.

„Pamiętnik pacjenta" jest także sporym compendium wiedzy o przeszczepach nerek dokonywanych za granicą i w kraju, o rozwoju medycyny w zakresie leczenia chorób nerek, o stosowanych technikach. Widać, że autor wierzył do końca w możliwości ludzkiego rozumu, w wynalazki i w nowe leki. I do końca szukał w annałach wydawnictw medycznych rzeczy najcenniejszej — nadziei.

Edmund Marszał: Pamiętnik pacjenta, Inst. Wyd. PAX 1982. Str. 170. Cena 80 zł.

OPOWIEŚĆ O BOYU

W cyklu „Opowieści biograficzne" ukazała się monografia Wojciecha Natansona pt. „Boy-Żeleński". Jest to już drugie jej wydanie, i jak pisze wydawca — Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, uzupełnione.

Nie ma potrzeby przedstawiać tu ani osoby Boya, ani autora monografii o nim. Wystarczy, jeśli przypomnę, że książka o znakomitym poecie, tłumaczu literatury francuskiej, krytyku, publicyście i społeczniku, jest próbą jego portretu psychologicznego, jest opowieścią o Krakowie z przełomu XIX i XX w., o „Zielonym Baloniku", w Cyganerii, o „towarzystwie" i o skandalach. Jest to także historia niestrudzonego tłumacza, któremu zawdzięczamy przyswojenie nam całej niemal liczącej się klasyki francuskiej i historia nieszczęsnego człowieka, rozstrzelanego przez Niemców w wąwozie Góry Wóleckiej we Lwowie w nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku.

Wojciech Natanson: Boy-Żeleński. LSW 1983. Str. 380. Cena 180 zł.

GRA W GOMBROWICZA

Po pięcioletnich pracach badawczych zebranych w tomie „Gra w Gombrowicza", Jerzy Jarzębski pisze tak: „Pytamy więc niecierpliwie, czym jest „Gombrowicz" w tej frazeologicznej zbitce: graczem? polem gry? przedmiotem? intelektem? regułą? I dalej: kto gra „w Gombrowicza"? On sam z sobą? z nami? my z nim? my sami z sobą o niego?" Odpowiedź Jerzy Jarzębski zawarł na pięciuset stronach rozprawy naukowej, która może zainteresować nie tylko naukowców czy badaczy twórczości autora „Ferdydurke", ale tych wszystkich, dla których Gombrowicz stanowi wykładnię określonych nauk moralnych i etycznych. Jednak muszę lojalnie uprzedzić przyszłych Czytelników: „Gra w Gombrowicza" wymaga sporego przygotowania z zakresu gombrowiczologii, a na dodatek autor wcale nie ułatwia percepcji swego dzieła pisząc stylem zawiłym, enropowatym i czasami nużącym.

Jerzy Jarzębski: Gra w Gombrowicza. PIW 1982. Str. 516. Cena 180 zł.

Literatura jako sprawność

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Myślę, że Marek Słyk może mieć powody do zadowolenia. Jego powieść sprzed lat trzech, zatytułowana w sposób przyprawiający o dreszcz poszukiwaczy niedostępnej książki kucharskiej, wywołała reakcję wśród krytyków, recenzentów i czytelników. Było to — co dla startującego pisarza przecież istotne — przyjęcie kontrowersyjne. Dziś nie ma chyba większego sensu przypominać poszczególnych wypowiedzi i ocen, choć niektóre spośród nich dałyby się z pewnością odnieść do najnowszej powieści Słyka, zatytułowanej równie apetycznie jak jej poprzedniczka. Po prostu powieść „W rosole powikłań"[1] jest ścisłą kontynuacją powieści „W barszczu przygód". A w przygotowaniu kolejna „zupa".

Zabawne, albo może raczej zabawowe, dzieje Flakonona Pluxa, poszukiwacza przygód i detektywa w jednej osobie, przedstawione zostały w oparciu o następującą przesłankę: „życie jest chorobą materii, dalej chorobą energii, znowu: energia chorobą idei, idea chorobą Boga, Bóg chorobą bytu. Ale choroby bywają ciekawe, nawet dla pacjentów, nawet dla ich nosicieli". I jak w takiej sytuacji powiadać, że „życie zmusza do logiki. Jak blagiersko zasuwać, że logika zmusza do życia! Nic nie zmusza do niczego! Wszystko jest przeżarte swawolną wolnością, jowialną rozlazłością!!!" Rzeczywiście, w powieściach Słyka możliwe jest absolutnie wszystko, nic nie jest w stanie zaskoczyć znakomitego Pluxa, a w konsekwencji i czytelnika, który może nie tylko oswoić się z tą zwariowaną prozą, ale nawet polubić, o ile bowiem przygody Flakonona Pluxa w tomie pierwszym swoje jestestwo czerpały wyłącznie z wyobraźni „jakiegoś zatraconego pisarczyka", o tyle w tomie pt.: „W rosole powikłań" wikłają się one często z tym wszystkim, co dostępne jest przeciętnej wyobraźni niekoniecznie zatraconego jakiegoś czytelnika (choćby poprzez nawiązywanie dosyć rozpowszechnionych schematów literatury przygodowej czy kryminalnej).

Powieści Marka Słyka odznaczają się niesamowitą łatwością prowadzonej fabuły, a raczej rozproszonych, rozdrobnionych fabułek, które łączy w pewną całość (?) postać głównego bohatera, łgarza wybitnego i wykwintnego, późnego wnuka świetlanej pamięci barona Münchhausena. Jeśli dodać do tego ogromną zręczność w posługiwaniu się tworzywem językowym, umiejętność wydobywania ze słów i zdań maksymalnej ilości znaczeń, igraszkę z niedoskonałości języka jako środka komunikacji — to okaże się, że dla autora powieści „W rosole powikłań" sprawność jest chyba najistotniejszym warunkiem tworzenia literatury, rozumianej przede wszystkim jako sztuka słowa. Okazuje się przy tym, że utwierdzenie się we własnej sprawności jest zajęciem tak pasjonującym, że autor ani się spostrzegł i poniekąd pozwolił się tyranizować słowom. W rezultacie rozlewne, dwudziestokilkuarkuszowe, powieści Słyka są praktycznie bez początku i końca, ich różlewność wynika z prostej zależności od języka, bujnego jak roślinność ogrodu, w którym dobrotliwy ogrodnik nie może oprzeć się pokusie hodowania wszystkiego, co tylko zdoła wyrosnąć. A jeśli autor próbuje niekiedy się usprawiedliwić — czyni to raczej z czczej kokieterii niźli z wewnętrznego przekonania: „Wszedłem w pewną konwencję i wiadomo, że w niej wszystko by się mogło zdarzyć (...), bo jeślibym chciał wytrzebić wszystkie chwasty z moich przygód, a przynajmniej w gatunku sennego śnionego nonsensu, to niewiele by z tych przygód zostało, bo i sam tytuł (...) jest taki przecież nie bardzo dorzeczny, bym go z czystym sercem mógł polecić zwolennikowi małego realizmu, nie mówiąc już o dużym". Nie dla zwolenników realizmu wszakże przeznaczone zostały przygody Flakonona Pluxa, lecz dla tych, którzy od świata rzeczywistego wolą świat przygód, choćby najbardziej wydumanych, dla tych, którzy od naśladownictwa bardziej cenią kreację, choćby — nawiasem mówiąc — najbardziej niedorzeczną.

Czy z przygód i zabaw pana Pluxa coś wynika? A czy musi? Powieści Marka Słyka są w pierwszym rzędzie rozrywką, służą — jeśli wolno tak się wyrazić — kształceniu wyobraźni, stanowią swoiste vademecum tych wszystkich chwytów literackich, które pozwoliły literaturę par excellence popularną przemieszać z powiastką filozoficzną, tradycyjnie rozumiany romans z fantastyką. Są po prostu współczesnymi baśniami. I jak w każdej baśni — również i w powieści „W rosole powikłań" — beczka miodu zawierać musi łyżkę dziegciu. Oto próbka tego smaku: „Permanentne, przeciągłe obstawanie przy swoim, gdy wszyscy wyglądają wspólnego, kładzie na bok olbrzymi transatlantyk, którym jadą na zjazd znawców sami skończeni ignoranci. Jeszcze ciężka głupota poniektórych utrzymuje statek ów w pionie, jednak balast ten nie wystarcza; zamierzenie, by od jednego zamachu wydobyć z tłumu kwintesencję grupowego człowieczeństwa, staje się zamieraniem nie tylko człowieczeństwa, ale i ludzi, jego nosicieli..." Gdyby zasię powieściowe ingredience nie przypadły do gustu, proponuje pan Plux — jako przejaw postępującej demokratyzacji literatury — skreślanie kolejnych zdań, kreując w ten sposób wirtualnego czytelnika-redaktora, który powinien już wiedzieć, co z tą prozą czynić. Jednocześnie przestrzega przed zbytnim schlebianiem literackiemu nowatorstwu formalnemu, co wyrażać się może na przykład propozycją pISANIA dUŻYMI lITERAMI, A zACZYNANIA żDAŃ oRAZ iMION wŁASNYCH mAŁYMI. Miło, kiedy współczesny bajkopisarz wypkpiwa postęp pozorny.

Czy jednak czynienie ze sprawności warsztatowej naczelnej zasady swego pisarstwa nie może okazać się czymś podobnym?

1. Marek Słyk: „W rosole powikłań" Państwowe Wydawnictwo „Iskry". Warszawa 1982, nakład 10 000 + 200 egz., s. 414, cena zł 100,—

Z „Coppelią" w festiwalowe szranki

JERZY KWIECIŃSKI

Tajemnica długoletniego i nieprzerwanego, trwającego od przeszło stu lat powodzenia „Coppelii" tkwi, jak można sądzić, w zdrowej potrzebie rozrywki i odprężenia, którą niezawodnie zaspokaja ta bezpretensjonalna i dowcipna opowieść baletowa, inspirowana muzyką miłą dla ucha, dostępną, a nie pozbawioną istotniejszych zalet. To już bodaj czwarta w ciągu 20 lat prezentacja tego utworu, oglądana na łódzkiej scenie (łącznie z występami gościnnymi), i nakłada się ona w pamięci widzów na najświeższą realizację Rolanda Petit, która pozostawiła po sobie jak najlepsze wspomnienia i wyostrzyła wymagania baletomanów. Przypomnijmy, iż właśnie wdzięk i dowcip był głównym atutem przedstawienia odtańczonego z perfekcją przez gości z Marsylii. Niełatwe więc zadania stanęły przed zaproszonym do łódzkiej realizacji choreografem, TERESĄ KUJAWĄ, której wspaniałą „Medeę" mieliśmy niedawno okazję podziwiać (kto nie widział, może ją obejrzeć w programie baletowych spotkań).

Pierwszy akt, należy to otwarcie powiedzieć, nie dawał pewności, że będzie warto oglądać następne. Działania sceniczne, nacechowane szkolną poprawnością, były jakby wymuszane, nawet EWA WYCICHOWSKA (**Swanilda**) nie zdołała podgrzać temperatury swym wdzięcznie i starannie odtańczonym walcem, a KAZIMIERZ WRZOSEK, w nowym dla siebie charakterystycznym emploi poszedł na komizm dość powierzchowny, wyrażany bezładnym miotaniem się po scenie i nadmierną dynamiką wymachujących na wsze strony rąk, jak gdyby **Coppelius** miał już do końca pozostać zataczającym się niezgrabiaszem. Udane za to nakreślone z odpowiednią dozą komizmu, wydały mi się postacie: **Burmistrza** (STEFAN PIĄTKOWSKI) i **Burmistrzowej** (ZOFIA WILCZYŃSKA — gościnnie).

Po odtańczonej z nerwem i bardzo polskiej zespołowej Mazurce zarolło się nagle od Cyganów, których folklor taneczny jest skądinąd wielce urokliwy scenicznie. Ale rzecz dzieje się w galicyjskiej części Austro-Węgier, a zdecydowanie węgierska w swojej melodyce muzyka Czardasza nie za bardzo uzasadniała jego cygański kształt taneczny. Nie jest to zarzut pod adresem całkiem sprawnego wykonania duetu przez MAŁGORZATĘ SŁADYSZ i KAZIMIERZA KNOLA.

Nie mogłem się oprzeć przypuszczeniu, że na niezbyt fortunnym zainscenizowaniu I aktu zaważyła podświadoma może intencja choreografa — odcięcia się za wszelką cenę od sugestywnej wizji scenicznej marsylskiego przedstawienia.

Akt II — i to od samego początku — dostarczył dowodów, że skojarzenia oparte na podobieństwie rozwiązań wcale nie były dla czołowej trójki wykonawców ryzykowne. Przede wszystkim Ewa Wycichowska udowodniła po raz nie wiem który, że technicznie, a zwłaszcza interpretacyjnie potrafi sprostać najtrudniejszym zadaniom, bez obawy porównań z kimkolwiek. Jej wcielenie się w postać lalki było popisem wielkiego kunsztu i myślę, że w precyzyjnie stopniowanym ożywianiu ruchów mechanicznej zabawki, w przydawaniu im cech postaci żywej, odegrało ważną rolę niezawodne poczucie rytmu, nie w sensie bezdusznego metronomu lecz sterowanego pulsem wewnętrznym. Brały w tym udział kończyny, głowa, tułów — w harmonijnej korelacji ze zmienną mimiką figlarnej dziewczyny płatającej psikusa zadufanemu Coppeliusowi, aż po niesforne i lekceważące pozbawienie go złudzeń (a w trakcie tego ogniście odtańczone Bolero).

Kto się żachnie na drobiazgowość opisu, temu odpowiem, że nie szkoda fatygi, gdy rzecz tak ulotna jak wykonawstwo zasłuży sobie na dokumentację. Więc już mniej skrupulatnie, choć z nie mniejszą satysfakcją wspomnę, iż Kazimierz Wrzosek wyzwolił się na szczęście z pierwotnego rozpasania ruchowego koncentrując się na dokładności i logice w kreśleniu postaci i udało mu się przekazać zmienne stany przeżyć Coppeliusa. A JERZY PIĘTKA (**Franciszek**), świetnie dysponowany w ciągu całego przedstawienia, miękki w ruchach, dynamiczny w skokach, był też, jak chyba nigdy dotąd, wyrazisty w interpretacji roli i zgoła zabawnie odegrał scenę pijacką, wolną od naturalistycznej wulgarności. To, co się działo, było oczywiście walną zasługą pani choreograf, która w tym akcie pokazała, jak świetnie jej „leży" ten komediowy genre, którym przepojona jest „Coppelia".

Wydaje mi się, że III akt, pozostawiający duże pole twórczej imaginacji choreografów, był bardzo nierówny w pomysłach i wykonaniu. Mimo zbyt masywnej, jak na **Eros**a, postury, TOMASZ ŁUKASZYŃSKI dorównywał lekkością tańca GRAŻYNIE POPŁAWSKIEJ (**Psyche**), nie za bardzo wzruszała mnie alegoria Miłości w postaci sierotki i niewątpliwej dziewicy, co nie było winą DOBROSŁAWY GUTEK. Wyobraziłem sobie, że ładnie pomyślany taniec **Żeńców** mógłby być wdzięczniejszy przy większych możliwościach niektórych panów, a zwłaszcza pań. Poza dyskusją było za to popisowe pas de deux Wycichowskiej i Piątki.

Trafnie podkreślała nastrój pogody i beztroski scenografia, pełna groteskowej tajemniczości w pracowni Coppeliusa, kostiumy prezentowały się gustownie i malowniczo, a przy tym sytuowały czas i miejsce akcji w nieco baśniowej, bo nieokreślonej krainie. Taśmowe nagranie muzyczne miało pełnię brzemienia, wydobywało zróżnicowanie kolorytu orkiestry, chociaż z nagłośnieniem nie obchodzono się dość pieczołowicie, o czym świadczyły jakieś przydźwięki w I akcie.

Jakaż więc była ta „Coppelia"? Jeśli się państwo ze mną zgodzą, to dość nierówna, w przekroju jednak całości przedstawienia sympatycznie pogodna. Oby się wybroniła w festiwalowych konfrontacjach, które się zapowiadają bogato i ciekawie. W momencie ukazania się numeru pisma będzie już po pierwszych występach naszych gości, którym też życzymy jak najlepiej.

Leo Delibes „Coppelia" czyli dziewczyna o oczach z emalii", balet na motywach noweli E. T. A. Hoffmanna, libretto: Charles Niutter i Arthur Saint-Leon, inscenizacja i choreografia: TERESA KUJAWA, scenografia: WŁADYSŁAW WIGURA, nagranie: Orkiestra Teatru Wielkiego p.d. TADEUSZA KOZŁOWSKIEGO, solo skrzypcowe: ZENON HODOR. Premiera: 7 maja 1983 r.

Kronika kulturalna

W TRZECH łódzkich kinach, od 30.V. do 12.VI. trwać będzie Przegląd Filmów Japońskich. Program zapowiada się interesująco. Zobaczymy m. in. takie filmy, jak **„Dzika stokrotka"**, melodramat, historia romantycznej miłości z początków naszego stulecia, w reżyserii Scjinichiro Sawai; **„Dni dzieciństwa — dni wojny"** dramat wojenny, którego akcja rozgrywa się w ostatnich dniach II wojny światowej, w reżyserii **Seijiro Koyama; „Tropikalna gorączka"**, w reżyserii **Yoji Yamada** to dramat samotnego mężczyzny, który nie zdecydował się w porę okazać miłość kochanej kobiecie.

CIEKAWIE zapowiadają się organizowane przez Polskie Stowarzyszenie Jazzowe „Dni Jazzu i Rocka 83". W programie, obok koncertów takich gwiazd, jak: zespół Janusza Muniaka, Tie Break, Extra Ball, projekcje video, a w nich m. in.: Kate Bush, Elvis Presley in Concert i Monterey Pop. „Dni" zaczynają się 21 maja i trwać będą aż do 5 czerwca. O samych koncertach niestety nie będziemy mogli nic napisać, ponieważ redakcja nie otrzymała na „Dni" zaproszenia.

W DUNKIERCE zakończył się XIV Międzynarodowy Festiwal Jazzowy. Wzięły w nim udział cztery zespoły z Polski. Wszystkie zaprezentowały się świetnie. Wśród zespołów „moderne" pierwsze miejsce zajął polski „Heavy Metal Sextet", w kategorii „Actual" także zwyciężyła polska grupa „Chwila nieuwagi", a drugą nagrodę uzyskał „Jazz Trio"; zespół ten otrzymał także nagrodę jury. Wśród grup uprawiających jazz tradycyjny trzecie miejsce zajął zespół „Daily Jazz Combo".

ZAKOŃCZYŁY się XXIII Kaliskie Spotkania Teatralne. Udział w nich wzięło osiem zespołów z różnych regionów kraju, poza Warszawą. „Grand Prix" w tym roku nie przyznano. Natomiast pozostałe cztery główne nagrody otrzymali: Jarosław Abramow-Newerly, autor sztuki „Maestro"; Joanna Bogacka za rolę księżnej Iriny Wsiewołodowny w przedstawieniu „Szewców" St. I. Witkiewicza w Teatrze Wybrzeża z Gdańska; Andrzej Makowiecki za reżyserię sztuki „Obraza" Helmuta Kajzara w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu; Janusz Michałowski za rolę Aslaksena w przedstawieniu „Wroga ludu" H. Ibsena w Teatrze Nowym w Poznaniu. Nagrodę dla młodego aktora otrzymał Jacek Pawlak za rolę „Numeru siódmego" w przedstawieniu „Terroryści" I. Iredyńskiego w Teatrze Nowym w Łodzi.

W MINIONĄ sobotę w Domu Kultury „Lutnia" zaprezentowany został spektakl „Szkoda, że jest nierządnicą", w wykonaniu „Pracowni — Teatru" z Warszawy.

PTL „ARLEKIN" wystąpił z nową premierą. Jest to przedstawienie sztuki **Agnieszki Osieckiej „Dixie"**. Przedstawienie reżyseruje młody aktor „Arlekina" — **Waldemar Wolański**, sztukę zaadaptował **Bogusław Kierc**, scenografię przygotował **Krzysztof Rynkiewicz**, muzykę — **Mirosław Jastrzębski**. Grają: **Mieczysław Gryglas, Małgorzata Durka, Stefan Guzik i Jerzy Kłosiński.**

W MAJU br. rozpoczął działalność pierwszy na terenie naszego kraju Oddział Towarzystwa Juliusza Verne'a. Siedzibą Towarzystwa jest Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego w Łodzi. O celach, założeniach i programie Towarzystwa informować będzie przedstawiciel „Société Jules Verne" na Polskę w każdą środę w godz. 15—20, w Pracowni Regionalnej MBP (Łódź ul. Gdańska 100) gmach C (wejście obok księgarni „Exlibris"). Towarzystwo Juliusza Verne'a założone w 1935 roku we Francji propaguje twórczość J. Verne'a, zrzesza miłośników jego książek z 21 państw świata.
Oddział Towarzystwa w Polsce pragnie poprzez różnorodne formy, jak spotkania, dyskusje, projekcje filmowe przybliżyć czytelnikowi polskiemu autora „180 dni dookoła świata".
Korespondencję prosimy kierować pod adresem:
Oddział Towarzystwa Juliusza Verne'a przy Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi, ul. Gdańska 100, 90-308 Łódź.

Jeden nie pije i nie żyje, a drugi pije i śpiewa...

Z BERNARDEM ŁADYSZEM rozmawia BOHDAN GADOMSKI

Od lat nie oglądany i nie słyszany na scenach operowych jeden z najwspanialszych polskich basów BERNARD ŁADYSZ powrócił do teatru.
Maria Fołtyn, reżyser operowy, przygotowując się do polskiej prapremiery słynnego musicalu amerykańskiego „Skrzypek na dachu", zgodziła się na jego realizację w łódzkim Teatrze Muzycznym z zastrzeżeniem, że główną partię męską, Tewiego, będzie śpiewał właśnie Bernard Ładysz.
I śpiewa. Czytelnikom „Odgłosów" opowiada o swojej karierze śpiewaczej i ostatniej pracy w Łodzi.

— Jak potraktował Pan propozycję objęcia roli Tewiego, bohatera musicalu „Skrzypek na dachu" w Teatrze Muzycznym w Łodzi?

— Propozycję zagrania tej roli złożyli mi: dyrektor Rajmund Ambroziak i reżyser przedstawienia Maria Fołtyn. Ucieszyłem się z niej i przyjąłem, bo będąc już dwa lata na emeryturze, a mając za sobą 35 lat spędzonych ze śpiewem, będę mógł jeszcze coś zrobić na scenie. Kiedy przeczytałem scenopis „Skrzypka na dachu", zrozumiałem, że znalazłem rolę swojego życia, jakby specjalnie napisaną dla mnie.

— Czy znał Pan już wcześniej tę postać?

— Nie, choć słyszałem o tym znakomitym musicalu i jego bohaterze, a będąc w USA mogłem i chciałem go obejrzeć, ale nie zdążyłem.

— Jakiego człowieka zobaczył Pan na kartach scenopisu „Skrzypka na dachu"?

— Zobaczyłem siebie, bo widziałem przedtem jak żyją Żydzi, jak mówią, słowem główny problem musicalu nie był mi obcy, w czym może mam przewagę nad innymi artystami i realizatorami tego przedstawienia w Łodzi.

— Czy ta rola była podobna do Pana wcześniej śpiewanych partii w teatrach?

— Nie, jest zupełnie odmienna.

— Jaki więc jest Tewi?

— Po prostu człowiek, mądry, znający życie, jego problemy, z wieloma przeżyciami, z ogromnym doświadczeniem.

— Skąd czerpał Pan środki aktorskie, aby uwiarygodnić na scenie jego postać?

— Sprzed wojny, tak, właśnie z tamtych czasów, kiedy to oglądałem straszną biedotę Żydów spotykanych na podwórkach, ulicach, poznałem ich mentalność i różne zachowania. Wtedy dużo było u nas Żydów ze swoim specyficznym sposobem bycia i życia oraz charakterem.

— Teraz na scenie egzekwuje Pan ich każdy ruch, słowo, gest, dba o detal?

— Tak, pracowałem nad tą rolą wręcz analitycznie, boję się teraz trochę efektów swojej pracy. Nie wystarczy przecież tylko mówić jak prawdziwy Żyd, ale trzeba każde słowo przeżyć, zgłębić. To nie jest lekka operetka, to prawdziwy dramat, w którym można znaleźć sporo mądrości, zobaczyć żydowskie tradycje, sposób życia i myślenia.

— A wszystko to w ścisłej korelacji z zamysłem reżyserskim Marii Fołtyn czy samodzielnie przy akceptacji własnych pomysłów przez reżysera?

— Postać sceniczną stwarzam sam. Ale odpowiedzialność za efekt bierzemy oboje z Marią Fołtyn, która akceptuje to co robię. Fołtyn i mnie zależy na tym, żeby się udało, bo nas ludzie mogą już mało oglądać. Fołtyn jako twórcę przedstawień muzycznych w różnych teatrach Polski, mnie po długiej przerwie chyba po raz ostatni na teatralnej scenie muzycznej.

— Woli Pan pracować z reżyserami—kobietami czy mężczyznami?

— Chcę pracować z mądrymi reżyserami, od których można się jeszcze czegoś nauczyć, a nie ich uczyć.

— Jak układała się Pana współpraca z równie mu temperamentem Maria Fołtyn?

— To fakt, że oboje jesteśmy zapaleńcami. Ale jak do tej pory nie było problemów. Znamy się chyba 100 lat, jak łyse konie.

— A z zespołem Teatru Muzycznego w Łodzi?

— Dla mnie ten młody, ładny, ambitny zespół jest cudowny, ale ja mogę być dla nich trudny z uwagi na mój niełatwy charakter.

— Witali Pana w teatrze jak gwiazdora czy też byli obojętni na Pana artystyczną legendę?

— Przyjęli mnie bardzo serdecznie, czułem już od pierwszego dnia, że nie jestem człowiekiem w obcym kraju, jak mówi Abraham.

— Sądzi Pan, że „Skrzypka na dachu" powinien wystawiać właśnie teatr muzyczny?

— Wyłącznie, bo jest tu dużo pięknej muzyki, a przedstawienie jest dla ludzi, do słuchania, oglądania, nie jestem pewien czy śpiewacy operowi potrafią na scenie mówić, w tym musicalu wyraźnie występuje kwestia specyfiki teatru dramatycznego.

— W USA przygotowywano „Skrzypka na dachu" przez 6 miesięcy, mając artystów i realizatorów najwyższej próby, w Łodzi tylko 6 tygodni, z zespołem młodym, nie mającym tradycji, doświadczenia w pracy nad wielkimi musicalami. Czy nie przesądziło to — zdaniem Pana — o poniesieniu pewnego ryzyka artystycznego, w tym również przez Pana?

— Zawsze jest ryzyko i przeżyłem je. Dwa razy podczas pracy nad rolą Tewiego załamywałem się, rezygnując prawie z tej roli. Ale mam doświadczenie i jakoś udawało mi się zbudować jego postać. Zresztą nie musiałem robić tego człowieka, to po prostu jestem ja. I było to moje ułatwienie w aktorskiej robocie.

— Co sprawiało Panu najwięcej trudności podczas pracy nad tą rolą?

— Tekst. Dużo go było, cała książka, a ja nie schodzę ze sceny. Nigdy do tej pory nie mówiłem ze sceny, a tu od razu — dwie godziny z niej nie schodzę. Opracowania muzyczne roli nie nastręczało mi żadnego problemu, mam ją w małym palcu.

— A propos tekstu, to dosyć długo nie mógł Pan go opanować?

— Tak, to był rzeczywiście problem. Może winne temu są moje lata, może było za mało czasu dla mnie do przygotowania tak dużej roli. Ponadto ciągłe dojazdy z Warszawy do Łodzi, będąc na miejscu miałbym zadanie ułatwione. Nie zrezygnowałem w tym czasie z innych spraw zawodowych, łącznie z występami wcześniej zakontraktowanymi. Muszę przecież z czegoś żyć!

— Jeżeli chodzi o Pana mówienie, to miał Pan ku temu okazję w filmie?

— Tak, w „Znachorze", a niedawno w sporym epizodzie filmu „Pastorale heroica", gdzie gram rolę generała.

— Czyli doświadczeń w rolach mówionych było nieco więcej. Okazało się to trudniejsze niż samo śpiewanie?

— Naturalnie, bo nigdy przedtem nie miałem z tym do czynienia. Całe życie śpiewałem.

— Kto kształcił Pana bas?

— Najwięcej zawdzięczam parze nieżyjących już muzyków: prof. Sergiuszowi Nadgryzowskiemu, paniście, który nie uczył śpiewu, lecz muzyki, żądał ode mnie tylko jednego — ładnego śpiewania, drugim muzykiem był prof. Jerzy Gaczek Szkoda, że zaczyna brakować takich ludzi. Z nimi można wszystko zyskać, a niczego nie stracić. Uczęszczałem też do Wyższej Szkoły Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie. Wspomnę takich profesorów jak: Wacław Filipowicz, Ewa Bandrowska-Turska. Miałem wielu pomocników śpiewu. Ale w najlepszych wspomnieniach powracam tylko do dwóch wspomnianych na początku.

— Jakie były początki Pana kariery?

— Śpiewam od 1946 roku, w chórze i solo w Zespole Pieśni i Tańca Wojska Polskiego. W sumie prześpiewałem tam 20 lat, nawet będąc na etacie w teatrze operowym. W Teatrze Wielkim w Warszawie zadebiutowałem w 1950 roku partią Zbigniewa w „Strasznym dworze" i Grymina w „Eugeniuszu Onieginie". Już wtedy interesowała mnie muzyka kościelna której dużo śpiewałem. Ponadto koncerty filharmoniczne, radiowe i estradowe.

— A najbogatsze lata w zawodzie?

— W Polsce odkryto, że mam głos dopiero po moim zwycięstwie na Międzynarodowym Konkursie Wokalnym we Włoszech gdzie w 1956 roku otrzymałem I nagrodę. Wtedy zaczęto powierzać mi wielkie partie basowe typu „Faust", „Borys Godunow". W ostatnich latach do szczególnych wydarzeń w moim życiu artystycznym zaliczam udział we wszystkich premierowych wykonaniach utworów Krzysztofa Pendereckiego, zarówno w Polsce, jak i za granicą poczynając od „Pasji", a kończąc na „Te Deum".

— Lata tłuste i chude u artystów to anomalia czy prawidłowość?

— Doświadczyłem lat tłustych i chudych, ale nigdy nie bardzo się tym przejmowałem, nie traktowałem swojej kariery aż tak serio jak inni śpiewacy. Oprócz śpiewania także żyłem, ciesząc się z życia. I może dlatego powodzenia i niepowodzenia nie bardzo mnie bolały.

— Ile lat śpiewał Pan w teatrze?

— Trzydzieści.

— A ile powinien?

— Te 30 lat trzeba było odpowiednio wykorzystać, może nie w Polsce, bo kiedy po owych 30 latach odchodziłem z teatru nie powiedziano mi nawet jednego słowa: dziękujemy. W tym fakcie zawiera się sens mojej odpowiedzi. Zawsze wracałem czym prędzej do domu, do kraju, a okazało się, że nie zawsze się to opłaca.

— Zdążył Pan zaśpiewać wszystkie ukochane role, czy tylko skromną ich część?

— Nie wszystkie. Nie zaśpiewałem dużo ról, których się nauczyłem, m. in. przez słabych reżyserów. Po prostu rezygnowałem.

— A za granicą?

— Aby zrobić wielką karierę, także za granicą trzeba posiadać: spryt, znajomości i mądrość. A ja byłem głupi, zlekceważyłem, zmarnowałem wielkie i ważne dla mnie sprawy zawodowe. Nie chcę uchodzić za bohatera, po prostu wracałem z kolejnych występów zagranicznych do kraju i to był powód mojego niepowodzenia w zagranicznej karierze. Ponad wszystko ceniłem dom i przyjaciół, a mam ich sporo. Nie zrobiłem kariery za granicą, ale za to mam przyjaciół. Byłem prawie na całym świecie: Europa Wschodnia, Zachodnia, Ameryka, Kanada, Chiny, Korea, Izrael, Australia, nawet Albania. Nie byłem tylko w Luksemburgu. Śpiewałem tam w teatrach operowych, na recitalach, koncertach zespołowych. W USA nagrałem płytę, w RFN nakręciłem film z „Diabłów z Luden". Szczególnym wydarzeniem był dla mnie występ na koncercie z okazji 80-lecia urodzin Pabla Picassa i na koncercie z okazji kolejnej rocznicy ONZ, na którym otrzymałem osobiste podziękowanie od ówczesnego sekretarza generalnego U'Thanta.

Foto: Chwalisław Zieliński

— W kraju Pana talent też nie zawsze bywał należycie wykorzystywany?

— Może muszę za to winić trochę siebie samego? Chciałem zrobić teatr operowy dla ludzi, przekazywać w nim prawdę, unowocześnić go, aby był nie tylko przybytkiem kultury dla pięknych głosów. Dlatego nie rozumiałem się z dyrektorami, dyrygentami.

— I dlatego zaczął Pan śpiewać na małych, maleńkich estradach, ostatnio na wsi?

— Tak, bo bardzo to lubię, np. miałem recital w Wólce Lubelskiej, w stodole. A za dwa tygodnie śpiewałem w Filadelfii. Wiem o stawianych mi zarzutach, że się rozdrabniam, ale moja matka mówiła: „Jeśli śpiewasz, to śpiewaj dla wszystkich o wszystkim, byle z sercem". Ludzie z małych miast przyjmują artystów o wiele lepiej niż mieszkańcy metropolii w niejednym teatrze.

— Równie często śpiewa Pan w kościołach?

— Całe życie śpiewałem w kościołach, bo bardzo kocham muzykę kościelną, a nie może być ona wykonywana na estradzie, np. „Oto drzewa krzyże", „Chór sprawiedliwych", „Święta dziewica" i szereg pieśni Gunoda, Burego, Bizeta.

— Czy nie za dużo Pan tam śpiewa?

— Przestać śpiewać to znaczy przestać żyć. Obecnie jestem emerytem, żaden teatr mnie nie chce, nawet jeden z nich zabronił mi wejścia do siebie, więc pozostał kościół i estrady.

— Kto jest dla Pana najbardziej obiektywnym krytykiem?

— Prosty człowiek, bo jeśli przyszedł on na mój koncert i wysiedział do końca, to stanowi dla mnie największy sukces. Nie śpiewam pod publiczkę, chcę trafić do słuchacza i pragnę, aby mnie rozumiał. Dlatego chętniej wybieram piosenki, a nie operowe arie, samą operą żyć nie można.

— Są jeszcze krytycy muzyczni?

— Myślę, że ich zadanie jest trudniejsze niż moje, bo muszą wiedzieć dużo, aby móc oceniać. Nie miałem napastliwych krytyk. Zawsze oczekiwałem recenzji pomagających zrozumieć błędy. Krytyk powinien wytłumaczyć dlaczego dana partia jest dla mnie odpowiednia lub nią nie jest. Krytycy powinni nie tylko krytykować co jest złe, a pomagać zrozumieć dlaczego tak jest.

— Nie myślał Pan o zajęciu się pedagogiką?

— Nie, bo nie wytrzymałbym nerwowo.

— Ale wiem, że pomaga Pan młodym śpiewakom, którzy cenią sobie te wskazówki?

— Uważam, że moim obowiązkiem jest nie chować tego, czego sam się nauczyłem, ale przekazywać to młodszym. Nie mam w sobie zazdrości. Portki się trzęsą jak ktoś lepiej to zrobi, ale wtedy ja też się staram.

— Jakie miało to zastosowanie w przypadku 28-letniego Zbigniewa Maciasa z Teatru Muzycznego w Łodzi, dublującego Pana w roli Tewiego?

— Sądzę, że Macias ma przed sobą wielką drogę. Przekazałem mu co mogłem zrobić, resztę musi zrobić sam, mówiłem mu: musisz myśleć sobą, samodzielnie dochodzić do scenicznych prawd.

— Co sądzi Pan o naszej młodzieży śpiewającej muzykę poważną?

— Wydaje mi się, że ostatnie lata zaczynają być dobre, bo pokazuje się sporo ładnych głosów. Życzę im, aby nie tylko śpiewali, ale i myśleli, nie byli zarozumiali, żeby pycha nie przerosła ich ambicji.

— Widzi Pan wśród nich swoich następców?

— Nie chciałbym, żeby byli moimi następcami, niech będą sobą. Było paru śpiewaków, co to chcieli być Ładyszem, ale nie byli ani mną, ani sobą.

— W Łodzi pojawił się niedawno młody bas szczególnego blasku, nazywa się Romuald Tesarowicz?

— W swoim czasie pomogłem mu dostać się do Zespołu Pieśni i Tańca Wojska Polskiego, ale tam śpiewał tylko w zespole. Mam nadzieję, że coś z niego będzie, dawno go nie słyszałem.

— Z czego należy czerpać swój kapitał zawodowy, gdy się pośpiewa kilkanaście lat na scenie?

— Z natury. Poza tym nie należy pić wódki samemu, tylko w towarzystwie, bo mimo wszystko jest to zawód wymagający pewnej higieny głosu. A poza tym praca, praca, praca...

— Więc Pan dba o swój głos?

— Nie dbam, nigdy nie dbałem. Nie nosiłem szalików, jadłem lody, piłem piwo i wódkę.

— Złośliwcy mówią, że pije Pan za dużo?

— Co znaczy za dużo? Jednemu za dużo kieliszek, innemu za mało litr, to zależy od organizmu. Jeden nie pije i nie żyje, a drugi pije i śpiewa.

— Ale papierosów Pan nie pali?

— Nie palę, ale lubię jednak pokopcić fajkę lub cygaro.

— Patrzę na Pana i widzę, że sława zupełnie na Pana nie oddziaływuje, bo nie zmieniła Pana w gwiazdora, a mogła. Można się tego ustrzec w jakiś szczególny sposób?

— Całe życie chciałem być normalny, nie wierzyłem, że będę śpiewał tyle lat, nie brałem tego zajęcia poważnie. Jestem chłopak wojenny i tak prześpiewałem całe życie. Może jest to jeden z powodów, że nie przeżywam tak tragicznie odejścia.

— A Pana jubileusze? Już były czy dopiero będą?

— Nie było i chyba nie będzie.

— A dokumentacja Pana pracy: na płytach, w radio, TV, w szkicach prasowych, książkach?

— Mam kilka płyt, sporo nagrań radiowych, trochę rejestracji telewizyjnych, w prasie pisano o mnie niewiele. Książki trzeba pisać o poważnych ludziach, a nie byłych wyjcach.

— Sztuka wokalna jest ulotna, przy braku szerszej dokumentacji, zapisu dźwiękowego łatwo idzie w zapomnienie?

— Coś tam jednak po mnie pozostanie. Mnie pozostaje tylko żal, że po 30 latach śpiewania „Strasznego dworu" nie zostałem zarejestrowany na płycie.

— Jakie uczucia towarzyszą Panu w 35 roku śpiewania?

— Nie czuję tych lat, głosowo może jest gorzej, a to pewnie dlatego, że za dużo wiem i za dużo od siebie wymagam. Gdybym mało wiedział byłbym bardzo dobry, ale wiem dużo i nie jestem z siebie dumny. Nabrałem doświadczenia, dystansu. Śpiewanie to nie jest taka łatwa sprawa.

— Perspektywy na przyszłość?

— Obecna praca w Łodzi zakończy moje śpiewanie w teatrze muzycznym. Choć zaproponowano mi role w teatrach dramatycznych i kto wie czy ich nie przyjmę. Chciałbym teraz być komikiem, bo całe życie grałem dramaty, a mam w sobie dużo komizmu i mogę go jeszcze wykorzystać. Na pewno nie czuję się starszym panem.

— Mimo wszystko dostrzegam w Panu nutę rozgoryczenia, pesymizmu, nostalgii?

— Tak, jestem rozgoryczony, nie miałem dobrych doradców w życiu, byłem więc głupi, bo samotny.

Polemiki • Poglądy • Opinie • Listy

Pod adresem MPO

Akcja „Posesja" była i minęła, pobudziła jednak część obywateli do utrzymywania ładu i porządku w miejscu zamieszkania i pracy. Są jednak przedsiębiorstwa, które z tytułu swoich zadań powinny wykazywać wyjątkową dbałość o porządek w miejscach publicznych, a tego nie czynią.

Cóż bowiem czytamy w umowie zawartej w ostatnim czasie pomiędzy Miejskim Przedsiębiorstwem Oczyszczania w Łodzi, a właścicielami posesji! Zleceniobiorca (czyli MPO) zobowiązuje się przy opróżnianiu pojemników ze śmieciami m. in. do: „1. usuwania nieczystości stałych; 2. wystawiania z nieruchomości pojemników z nieczystościami oraz wstawiania ich po opróżnieniu na właściwe miejsce; 3. oczyszczania miejsca zaśmiecenia przy załadunku nieczystości stałych na samochody; 4. wymiany pojemników uszkodzonych w czasie ich eksploatacji".

W praktyce, niestety, sprawa wygląda tak, że: 1. pracownicy MPO zazwyczaj pozostawiają na miejscu nieczystości stałe, które gromadzą się wokół pojemnika w sytuacji zbyt rzadkiego opróżniania przez MPO, 2. opróżniane pojemniki z reguły nie są odnoszone na swoje miejsce, lecz pozostają na poboczu jezdni lub chodnika, 3 miejsca zaśmiecenia, czyli trasa, którą odbywa pełny pojemnik ze swojego miejsca do wozu, usiana jest często usypującymi się śmieciami, a zwłaszcza na jezdni pozostaje zwykle spora kupka nie uprzątniętych śmieci.

Wśród setek i tysięcy właścicieli domków jednorodzinnych, usytuowanych z reguły na obrzeżach miasta, jest wiele osób samotnych i starych lub chorych, którym sprawia ogromną trudność zarówno uprzątanie jezdni i chodnika, jak zwłaszcza ściągnięcie pojemnika z ulicy i ustawienie go na swoim miejscu.

Z umowy nie wynika wcale, czy niedotrzymywanie warunków przez zleceniobiorcę obciąża go (czyli MPO) na przykład zmniejszeniem ustalonej opłaty (a w konsekwencji potrąceniem zarobku niedbałych pracowników). Owszem, w umowie informuje się, że w przypadku niedopełnienia obowiązku przez pracowników MPO należy powiadomić kierownictwo przedsiębiorstwa, i — jak się to stwierdza — pracownicy biura MPO obiecują w sposób uprzejmy i kulturalny zwrócenie uwagi pracownikom zatrudnionym przy wywózce śmieci. Ale też na tym sprawa się kończy.

Ciekawe też, czy dzielnicowego Milicji Obywatelskiej powstrzymałaby od wystawienia obywatelowi mandatu za nieporządek przed posesją informacja, iż winowacją jest MPO. Skąd zresztą milicjant mógłby wiedzieć, kto naprawdę zawinił?

Oczywiście, można sobie łatwo wyobrazić, że przedsiębiorstwu brak sprzętu i ludzi (stąd ostatnio zbyt rzadkie wywózki śmieci), że zwiększanie wymagań wobec pracowników wykonujących ciężką i niezbyt przyjemną pracę może tylko pogorszyć stan zatrudnienia w tych właśnie służbach MPO. Ale przecież nie wolno odstępować od zasady, że umowa to akt obowiązujący na równi obie strony — obywatela i urząd lub przedsiębiorstwo.

Należy jeszcze i to wziąć pod uwagę, że obywatel nie zawsze śmie zwrócić uwagę pracownikom MPO w obawie, że mógłby być w przyszłości jeszcze gorzej obsłużony, należałoby więc chyba uruchomić w przedsiębiorstwie lotne kontrole, sprawdzające na bieżąco wykonywanie wywózki śmieci.

Byłbym ciekaw, co o tym sądzi dyrekcja MPO w Łodzi?

JAN KULESZA
(adres znany redakcji)

Inteligenci nie są robotnikami

Jako historyk mam pewne skrupuły podejmując polemikę z wywodami socjologa, który, jak sądzę, w interesującej nas tu problematyce ma lepszą ode mnie orientację. Pewne jednakże fragmenty, a nade wszystko ostateczna konkluzja artykułu dr Edmunda Lewandowskiego pt. „Inteligenci też są robotnikami" („Odgłosy" nr 19) zawierają tak jaskrawe, moim zdaniem, nieporozumienia, iż zdecydowałem się na polemikę ze skądinąd wielce przeze mnie cenionym kolegą.

Zgadzam się całkowicie ze stwierdzeniem E. Lewandowskiego, iż „w naszych warunkach ustrojowych przeciwstawienie pracowników umysłowych (inteligencji) robotnikom fizycznym (klasie robotniczej) jest sztuczne, absurdalne i szkodliwe". Formułowane gdzieniegdzie opinie o inteligencji żyjącej kosztem klasy robotniczej dość często znajdują odbicie w publicystyce, na szczęście niezbyt wysokiego lotu. Jedna zresztą sprawa to błędność i szkodliwość tych poglądów, druga — społeczny i polityczny ich rodowód. Nie chcę tu wnikać w ową sprawę, wspomnę tylko, że w ciągu ostatnich kilku lat poszczególne grupy podzielonej politycznie inteligencji uczyniły wiele dla totalnego wzajemnego zdezawuowania się w oczach społeczeństwa.

Słuszny zamiar przeciwstawienia się krzywdzącym inteligencję poglądom skłonił E. Lewandowskiego do stwierdzenia, że „inteligenci też są robotnikami i to przeważnie produkcyjnymi". Jest to stwierdzenie błędne, wywiedzione z zawężonej definicji. O przynależności do klasy — pisze E. Lewandowski — decyduje stosunek ekonomiczny do środków produkcji, cyrkulacji i usług (posiadanie lub nieposiadanie) oraz sposób zdobywania środków do życia (własna praca lub wyzysk cudzej pracy). Rzeczywiście, taki sposób rozumienia pojęcia klasy społecznej można znaleźć w części fachowej literatury. Osobiście bardziej mi jednak odpowiada szersze i bardziej dynamiczne ujęcie tej kwestii przez W. Lenina, według którego „klasami nazywamy wielkie grupy ludzi, różniące się pomiędzy sobą miejscem zajmowanym w historycznie określonym systemie produkcji społecznej, stosunkiem (przeważnie usankcjonowanym i ustalonym przez prawo) do środków produkcji, rolą w społecznej organizacji pracy i — co za tym idzie — sposobem otrzymywania i rozmiarami tej części bogactwa społecznego, którą rozporządzają" (Wielka inicjatywa, (w:) Dzieła, t. 29, s. 415). A więc — przynależność klasową grupy społecznej określa nade wszystko jej miejsce i rola w systemie produkcji, a nie tylko i wyłącznie fakt, czy ma ona na własność środki produkcji. Nie wszystkie osoby pracujące w sektorze produkcyjnym są robotnikami. Jak na razie — bez względu na to czy nam się to podoba, czy nie — dyrektor pełni w swoim przedsiębiorstwie i w całym społeczeństwie inną rolę, ma odmienną pozycję, niż, przytoczmy tu przykład skrajny, niewykwalifikowany pracownik transportu wewnętrznego w tymże zakładzie.

Określenia „inteligent" i „robotnik" mają już u nas ponad wiekową tradycję, i jakkolwiek ich treść ulega stałym przekształceniom, to po dzień dzisiejszy rozróżnienie takie ma swoje uzasadnienie. Fakt, że szereg grup społecznych (zawodowych) znajduje się jakby pomiędzy nimi, rozgraniczenia tego nie likwiduje. Kategorie te funkcjonują powszechnie w sposobie myślenia społeczeństwa, co też przestrzega przed zbyt pochopnymi w tej materii wnioskami. Socjalistyczne przeobrażenia struktury społecznej nie idą w kierunku wchłonięcia przez klasę robotniczą innych grup ludności. Klasy eksploatatorskie ulegną likwidacji, a inne stopią się w bezklasowe społeczeństwo, co zresztą będzie procesem długim i zapewne nie pozbawionym sprzeczności.

Błąd w dużej sprawie powoduje zawsze potok pomniejszych nieporozumień. E. Lewandowski dzieli klasę robotniczą na dwie warstwy: najemnych inteligentów i najemnych robotników. Do tej pierwszej zalicza prawie wszystkie osoby wykształcone i wynajmujące swą pracę, poza ludźmi z tzw. „wolnych zawodów". Dlaczego jednak proletariuszka była, na przykład, moja nauczycielka ze szkoły, a nie był robotnikiem leczący mnie lekarz posiadający wolną praktykę?

Poglądy przedstawione przez E. Lewandowskiego nie są, jak zdaje się sądzić ich autor, nowe. Przeciwnie: zarówno u progu polskiej nowoczesnej myśli socjalistycznej, jak i w następnych dziesięcioleciach, poniektórzy publicyści i pisarze polityczni posługiwali się pojęciem „inteligentnego proletariatu". W ich rozumieniu uboższa część inteligencji, szczególnie młodej, należała, z racji materialnego poziomu życia i radykalnych przekonań do klasy robotniczej. Takie opinie głosił m. in. Ludwik Kulczycki, działacz socjalistyczny, później demokratyczny, zapoznany już dzisiaj socjolog i historyk. Z perspektywy wielu lat widzimy dzisiaj wyraźnie, że to zacieranie różnic pomiędzy proletariatem a inteligencją — jakkolwiek czynione w dobrych intencjach — w rozważaniach i praktyce politycznej nie było twórcze.

E. Lewandowski nie jest skłonny zaliczać do klasy robotniczej tych, którzy „źle pracują i są zdemoralizowani". Po co chować głowę w piasek, po co upiększać rzeczywistość? Prawdą jest po prostu to, że pewna część robotników, podobnie jak niektóre grupy inteligencji, pracuje źle, z różnych zresztą przyczyn. Stwierdzenie tego oczywistego faktu w niczym nie podważa zasady kierowniczej roli klasy robotniczej, nikogo też nie upoważnia do krytyki inteligencji jako całości.

Popieram w zupełności ten wątek artykułu E. Lewandowskiego, w którym pisze on o skandalicznym poziomie uposażeń dużej części inteligencji. Pracownik umysłowy, szczególnie działający na niwie nauki, oświaty czy kultury, powinien być uczciwie wynagradzany. Tymczasem tradycyjnie już ludzi z niektórych inteligenckich zawodów skazujemy na materialne ubóstwo. Weźmy chociaż za przykład nauczyciela szkoły wiejskiej. Inteligentowi temu stawiane są bardzo poważne i odpowiedzialne zadania, wykraczające poza samo nauczanie. Ma on także wychowywać młodzież, kształtować poziom społeczności wiejskiej, świecić osobistym przykładem. Jak na ironię otrzymuje on jednak pensję tak lichą, że ledwie wiąże koniec z końcem, lokując się w środowisku wsi wśród rodzin najbiedniejszych.

Rozwiązania dylematów podniesionych przez E. Lewandowskiego nie szukamy jednak w sztucznym zaliczeniu inteligencji do klasy robotniczej. Są to, jak na razie, dwie odrębne grupy społeczne, co prawda nie zawsze wyraźnie zróżnicowane. Sprzeczności, jakie pomiędzy nimi powstają, z całą pewnością nie mają charakteru nierozwiązywalnego antagonizmu; często wywodzą się one z różnego rodzaju mitów i wzajemnych pomówień.

STEFAN M. KRAKOWSKI

Makowiecki spalony przez Punków!

Cześć redaktorku.

Wk.... nas twój reportaż „Zadyma, Punki! Zadyma!" z koncertu, który wbrew pozorom nie był koncertem punk-rockowym.

POUCZENIE

Zespoły Brak oraz Parlament grają muzykę zakwalifikowaną do gatunku nowej fali. Prosimy o tym pamiętać.

Nie wiemy dlaczego osobników, którzy przebierają się w kiblach i komórkach, na klatkach schodowych i innych zakamarkach, którzy boją się ujawnić swoje nazwiska w obawie przed represjami rodziców, i nauczycieli, nazywasz punkami.

Czy, twoim zdaniem, redaktorku, koleś, który na co dzień szpanuje pewexowskim ubrankiem, a ubierając się jak punk (właściwie jak faszysta) tylko na koncert i słuchając zespołu nowofalowego nazywa go punkowym jest punkiem?

Punkiem jest się cały czas albo wcale.

A teraz o Tobie, Redaktorku.

Wstawiając do reportażu zdarzenia i słowa, które nie miały miejsca, liczyłeś zapewne na tani efekt. Udało ci się. Lecz od nas powinieneś dostać za to lanie. Popsułeś nam opinię, redaktorku, nam, to znaczy prawdziwym punkom.

Kładziemy to jednak na karb tego, że prowadząc wywiad znajdowałeś się w stanie wskazującym na spożycie znacznej ilości alkoholu i obiecanego lania nie otrzymasz. Poza tym nie życzę sobie, byś nazywał mnie obwiesiem z przetrzebionym czy też ażurowym uzębieniem i wkładał w me usta słowa, których nigdy nie powiedziałem. Co do uzębienia, to zęby mam zdrowe tak samo jak nerkę, która mi nigdy nie wysiadła.

Do napisania tego listu skłoniły nas słowa przypadkowo spotkanych ludzi, którzy przytaczali pod naszym adresem fragmenty twojego p.... reportażu. Myślę, że gdybyś miał choć odrobinę obiektywności, przyznałbyś nam rację.

Odsyłamy ci resztki twego reportażu oraz twych książek, ponieważ doszliśmy do wniosku, że w nich też kłamałeś.

P.S. Gdybyś chciał opisać prawdziwy koncert punk-rockowy, dowiedz się w PSJ., gdzie i kiedy odbywa się koncert np. takich zespołów: SS-20 vel Dezerter, Tzn Xenna, Rejestracja.

Bylibyśmy usatysfakcjonowani, gdyby w którymś z następnych numerów „Odgłosów" znalazło się sprostowanie, że twój reportaż dotyczył pseudopunków

Od redakcji

Z powodu nieobecności red. Andrzeja Makowieckiego redakcja nie może zająć stanowiska w sprawie uzębienia anonimowego autora listu. Jeśli cieszy się pełnym uzębieniem, to chyba nie on był bohaterem reportażu?

Nie potrafimy także określić kto jest, a kto nie jest prawdziwym punkiem. Jeśli „ideologia" ruchu punk pozwala bezpodstawnie oskarżać dziennikarza o kłamstwo i pijaństwo, a także palić książki (otrzymaliśmy resztki spalonego egzemplarza książki. A. Makowieckiego jako załącznik do powyższego listu) to jest nam ona dziwnie znajoma...

Kto nie choruje, ten żyje

Od 4 lat jestem pacjentem „Palmy" (Przychodnia Zdrowia dla Studentów). Siłą rzeczy, przez ten długi okres zdarzały mi się różne dolegliwości, z którymi spieszyłem do niesławnej placówki.

Niesławnej, bo krążą plotki, że w szpitalu zeszło już z tego padołu dwóch pacjentów. A przecież nie przeprowadza się tu żadnych operacji, na sondowanie żołądka odwozi się chorych do szpitala miejskiego.

Zaraz na progu Przychodni Zdrowia Psychicznego słyszy się często pytanie — ile? — ile trzeba zwolnienia. Lekarze ze Spółdzielni psioczą na jakość zabiegów stomatologicznych, ale trudno się dziwić, skoro na kilkanaście tysięcy studentów i pracowników — „Palma" dysponuje kilkoma specjalistami.

Plotkować można by tak długo, opowiem raczej o moich przeżyciach, bo mógłby mnie ktoś zaskarżyć o zniesławienie

Pewne objawy, zaczęły wskazywać na to, że wysiada mi pęcherz. Instrument to wrażliwy, więc nie było co zwlekać z odwiedzeniem internisty. Opowiedziałem mu o swoich dolegliwościach. Wysłuchał cierpliwie. Kazał oddać mocz do badania, co też uczyniłem. Analiza nie wykazała żadnych anomalii. Wypisał profilaktycznie jeszcze skierowanie do laboratorium na badanie krwi. Siostra ze strzykawą pozdrowiła mnie tradycyjnym: „— Sie nie ma co martwić, panie d u k r z y k", co było wątpliwym pocieszeniem w mojej sytuacji. Po kilku dniach roześmiany oddawałem wyniki, gdzie było napisane czarno na białym, że nie byłem chory. Doktor jeszcze raz przejrzał kartę choroby i spytał mnie, czy miałem kontakty. Zrobiłem prędko rachunek sumienia i nic. W czasie przesłuchania patrzył mi prosto w oczy i starał się pomóc w przedstawieniu prawdy: — „Sam pan wie najlepiej jak to było". Przyznałem mu rację. Nie widziałem dalszego sensu podtrzymywania tej rozmowy, która mogła się skończyć tylko wypisaniem trzeciego skierowania.

Zmieniłem internistę. Pani doktor bez żadnych ceregieli kazała mi opuścić spodnie. Jeden rzut oka, Zakasłać. Zapisała wyrok w karcie. Pytam co jest, a ona do mnie, że muszę do chirurga — tam mi powiedzą. Włosy stanęły mi na baczność. Myślę sobie — rak, ani chybi i wysiadka. Oglądałem taki film o człowieku, któremu lekarze nie chcieli powiedzieć, że jest śmiertelnie chory, a on przypadkiem obejrzał kartę i dowiedział się prawdy. Obraz ten skończył się happy endem, bo gość spojrzał nie na swoją historię choroby. Moje losy też nie potoczyły się tak tragicznie. Jeśli szczęściem można nazwać operację przepukliny.

W kilka miesięcy później miałem zdjęty paznokieć u nogi. Spóźniłem się do „Palmy" na pierwszy opatrunek. Lekarza już nie było, choć brakowało jeszcze pół godziny do końca wizyt. Trudno się dziwić człowiekowi — sam środek wakacji, a tu jak na złość pańszczyzna w zastępstwie.

Znajoma pielęgniarka zadeklarowała pomoc, bo do następnego dnia nie można było raczej czekać. Trochę się zdziwiłem jak mi zaczęła delikatnie zdejmować bandaż nie żałując wody utlenionej. Wiedziałem, że nie chce mi sprawić bólu, choć w medycynie jest tak, że kiedy chce się kogoś oszczędzać, to najbardziej się mu dokuczy. Moje najgorsze przypuszczenia miały się dopiero spełnić.

Na nodze wszystko się piepiło, na posadzce sadzawka. Siostra blada. Ja w strachu. Zdobyła się w końcu na decyzję i zawołała starszą pielęgniarkę. Ta trochę brutalniej pociągała. Ja w krzyk, bo zaczęły się chińskie tortury. Ona zaś, zamiast się skupić na zajęciu, sprawdzała czy jeszcze nie straciłem przytomności. Sytuacja stawała się zabawna, bo moja znajoma zzieleniała z powodu moich cierpień. Chodziła od ściany do ściany zataczając się z lekka. Dziś, z perspektywy lat przypuszczam, że po prostu chciała puścić pawia.

Ja tymczasem ochrypnąłem od wycia. Mówię siostrze, żeby mi dała spokój. Zwłaszcza, że domyśliłem się, iż całe życie pracowała w administracji. Następnego dnia poprosiłem lekarza o znieczulenie miejscowe przed zmianą opatrunku. Doktor zmierzył mnie wzrokiem. Jednym szarpnięciem zsunął opaskę, zanim zdążyłem kwiknąć.

Zawsze się słyszy, że czasem co bardziej wrażliwi pacjenci mdleją na fotelach dentystycznych. Ja byłem świadkiem sytuacji odwrotnej. Dziurę w zębie miałem słusznych rozmiarów i pani aż mlasnęła z ukontentowania, ile przy mnie będzie miała zajęcia. Wbiła mi żelazną „osę" w trzonowy. Pojękiwałem sobie z cicha. Bormaszynka trafiła na nerw. Jak nie wrzasnę! Patrzę — pani prawie zwisa na oparciu swego fotela, ręce jej drżą, w drugim gabinecie wszyscy trzymają się za serca. Dobrze, że kobiecina miała dość refleksu, żeby tę brzęczącą cholerę w porę wycofać z ust, zanim by mi zrobiła tatara z warg.

I tym zabawnym akcentem żegnam się — odradzając odwiedziny w „Palmie".

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Spór nie tylko o lektury szkolne

W numerze 10 „Odgłosów" z 6 marca 1983 roku ukazał się artykuł Eugeniusza Iwanickiego, który wywołał sporo różnych polemik i komentarzy. W artykule tym znalazł się następujący fragment:

„Przedłożono Ministerstwu Oświaty nową listę lektur szkolnych, usuwając z poprzedniej m. in. Nałkowską, Dąbrowską, Borowskiego, a w to miejsce proponując książki aktualnych członków Zarządu Głównego ZLP".

Pisał również o tym Władysław Machejek w „Życiu Literackim", w numerze 10 z 6 marca 1983 r.:

„Ktoś z przemawiających w dyskusji podważył zasługi zarządu zawieszonego ZLP, opierając się na tendencyjnym usuwaniu — przy przemożnym udziale komisji ZG w pracach odpowiedniego departamentu Ministerstwa Oświaty — uznanych dotąd lektur szkolnych, m. in. „Medalionów" Nałkowskiej, „Na wsi wesele" Marii Dąbrowskiej czy „Pamiątki z Celulozy" Igora Newerlego na korzyść nowych gwiazd, do których zaliczono aż trzy pozycje prezesa. Drewnowski kategorycznie zaprzeczył jakoby Zarząd Główny oficjalnie wyłonił taką grupę konsultacyjną, a prezes w jakikolwiek sposób wpływał na wspomniane decyzje lekturowe. Ale dlaczego nie opublikowano pełnego tekstu zestawu lektur — w czasie rozhuśtanej „demokracji"?"

Redakcja otrzymała list Jana Józefa Szczepańskiego datowany 19 kwietnia 1983 roku, w którym między innymi czytamy:

„(...) P. Iwanicki imputuje Zarządowi Głównemu spowodowanie zmiany listy lektur szkolnych, a to w tym celu, aby kosztem nieżyjących klasyków (Nałkowska, Dąbrowska, Borowski), umieścić na tej liście książki własnych członków. Pomówienie to, kwalifikujące się do sądu, powtarza się ostatnio w różnych wersjach: Między innymi Władysław Machejek posłużył się nim na łamach „Życia Literackiego", twierdząc, że ja umieściłem trzy moje książki na owej liście, tym razem kosztem Igora Newerlego. Faktem jest, że w lekturach szkolnych figuruje moja „Polska jesień", ale od lat przeszło dwudziestu. (...)

Proszę przyjąć do wiadomości, że cała afera z lekturami szkolnymi jest czystym (a raczej brudnym) wymysłem. Zarząd Główny nigdy list lektur szkolnych nie opracowywał, ani w opracowaniu ich przez Ministerstwo nie brał udziału. (...)"

Tu pragnęlibyśmy zwrócić uwagę, że ani E. Iwanicki, ani tym bardziej W. Machejek nie sformułowali bezpośrednio zarzutu pod adresem J. J. Szczepańskiego, ani też zawieszonego Zarządu Głównego ZLP jako całości.

W 16 numerze „Argumentów" Sławomir Kryska, zajmując się programami nauczania języka polskiego w szkołach i działalnością w tej mierze byłego NSZZ „Solidarność", przytacza listę lektur, wymieniając w niej tylko ilość pozycji, a nie tytuły utworów. Oto pełny tekst tej listy z artykułu pt. „Lektury":

„J. Andrzejewski 2 poz. („Partii i twórczości pisarza" wśród nich nie ma), J. Bocheński — 1, K. Brandys — 3, („Obywateli" niestety brakuje), R. Bratny — 1, T. Breza — 2, L. Buczkowski — 1, B. Czeszko — 1, S. Dygat — 1, K. Filipowicz — 2, J. Iwaszkiewicz — 2, J. Kawalec — 1, T. Konwicki — 3 („Przy budowie" nie wymienione), M. Kuncewiczowa — 2, A. Kuśniewicz — 1, S. Lem — 3, Cz. Miłosz — 1 plus wiersze, S. Mrożek — 1 plus dwa dramaty, T. Nowak — 1 plus wiersze, M. Nowakowski — 2, T. Parnicki — 1, J. Putrament — 1, A. Rudnicki 1, J. Stryjkowski — 2, J. J. Szczepański — 3, S. Zieliński — 1, W. Żukrowski — 1. Reportaż w tym spisie reprezentuje H. Krall, K. Dziewanowski i R. Kapuściński, poetów, których cała twórczość wypada na czas powojenny: S. Grochowiak, A. Rymkiewicz, T. Nowak, J. Twardowski, E. Lipska, E. Bryll, H. Poświatowska, S. Barańczak, T. Różewicz, Z. Herbert, M. Białoszewski i W. Szymborska".

Dlaczego Sławomir Kryska tak tę listę przedstawia? Wyjaśnia on następująco:

„Ta ilość, wbrew pozorom, nie jest mało ważna, najprostsze bowiem myślenie ucznia szkoły średniej jest nieco „sportowe": ten co ma trzy książki jest na pewno lepszy od tego, który ma jedną".

Jak z powyższego widać na liście tej nie ma ani Marii Dąbrowskiej, ani Zofii Nałkowskiej, ani Tadeusza Borowskiego, ani Igora Newerlego. Jak to się stało? Kto tego dokonał?

Niedawno otrzymaliśmy drugi list od Jana Józefa Szczepańskiego, datowany 29 kwietnia 1983 r.:

„Czuję się zobowiązany do uzupełnienia mego poprzedniego listu aneksem-sprostowaniem. W dniu wczorajszym miałem sposobność zapoznania się z nową listą lektur szkolnych i stwierdziłem, że dwie dalsze moje książki, mianowicie „Rafa" i „Przed nieznanym trybunałem" figurują na niej jako lektury nieobowiązkowe. Nie wiedziałem o tym, ponieważ nigdy mnie o tym nie zawiadomiono. Tak więc moje poprzednie oświadczenie okazało się mylne. Nie zmienia to faktu, że Zarząd Główny ZLP w ustalaniu list lektur szkolnych nie uczestniczył — ani wprost, ani przez żadne swoje agendy, co stwierdzam z pełnym poczuciem odpowiedzialności".

Wobec tego, kto to zrobił?

Wszyscy chyba rozumiemy, że ustalanie lektur szkolnych nie jest faktem obojętnym, ani z punktu widzenia politycznego, ani społecznego, ani moralnego. Lektury mają wpływać na wychowanie młodego pokolenia, ukształtować jego wyobrażenie o historii polskiej literatury, wpłynąć na jego postawy społeczne i polityczne. Jak więc mogło się stać, że zawieszony Zarząd Główny ZLP, który miał przecież ambicje wpływania na politykę kulturalną państwa, nic o tak ważnej sprawie nie wiedział? Warto byłoby tę sprawę do końca wyjaśnić!

Ale spór przecież nie toczy się tylko o lektury. Chodzi o coś więcej — o przyszły polityczny kształt tego związku, o jego rzeczywisty udział w kształtowaniu polityki kulturalnej państwa, a nie tylko negowanie tej polityki. Sprawa lektur jest tego sporu tylko małym fragmentem.

W kręgu fantastyki

Sposób na Genezis

Przez pięć długich dni Pan tworzył niebo i ziemię, gwiazdy i morza, rzeki i góry oraz wszelkie stworzenie na Ziemi, zaś szóstego dnia otarł pot z czoła. Na jego dobrotliwym obliczu pojawił się wyraz zatroskania i rzekł zniechęcony:

— Zaprawdę, źle się do tego zabrałem. Zamysł mój był przecież ambitny, lecz efekt długich zabiegów przypomina raczej kiepskie dekoracje. To nie jest świat jak należy — to tylko nędzna świata imitacja. Widać siły już nie te, co kiedyś.

Tu Pan zadumał się głęboko i uśmiechnął wspominając tę mnogość dokonanych już kreacji.

— Czyż jednak nie jestem wszechmocny? — spytał głośno, choć przecież nie było wokół nikogo, kto mógłby pytanie usłyszeć. — Tak jestem wszechmocny — odparł zaraz własnym myślom, wpadłszy widać na właściwy trop.

— Dziwne — mruczał podniecony — dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Ciągle sam, wszystko sam i zawsze sam. Rozejrzał się za właściwym tworzywem — Glina! Ulepił z gliny istotę na obraz i podobieństwo swoje i rzekł:

— Tyś człowiek.

Tchnął w człowieka duszę, a potem jeszcze po krótkim namyśle dodał mu towarzyszkę, żeby mogli wzajemnie widzieć się w swych oczach i wskazał obojgu rozkosze Raju ostrzegając przy tym przed spożywaniem owoców z Drzewa Wiadomości. Uśmiechnął się Pan w głębi duszy swej nieskończonej, wiedział bowiem doskonale, że ze wszystkich uczuć najmocniejsza jest u człowieka ciekawość. Jako Stwórca wiedział dobrze co czyni.

Wkrótce stało się. Człowiek znudzony jałowymi luksusami Raju zapragnął tego właśnie czego nie było mu wolno. Miała też swój w tym udział kobieta — zjedli wzbroniony Owoc. Pan udając wielkie zagniewanie wypędził człowieka z Raju, ten więc do żywego dotknięty, tęskniąc za utraconym Rajem jął bluźnić:

— To nieprawda, że On stworzył świat! Świat stworzył się sam i ja to udowodnię choćbym miał sczeznąć. Kobieta rozglądała się lękliwie wokół, czekając miecza ognistego w odpowiedzi na tak bezczelne słowa.

— Daj spokój człowieku — prosiła go — świata nie zmienisz i tak.

On jednak zaślepiony w swej pysze buntownika zaczął istotnie zmieniać świat — tu źle, tam niedobrze. Wszystko powinno być przejrzyście logiczne w swej przyczynowo-skutkowej formule i winno trzymać się kupy jakkolwiek by nie lecieć: od lewej do prawej i od prawej do lewej, z góry na dół i z dołu do góry. A

Rys. Przemysław Ulatowski

miało mu to — nie wiadomo właściwie dlaczego — dowieść naturalnego stanu wszystkich rzeczy i takiegoż ich pochodzenia.

Wymyślił więc na początku, iż dla porządku gwiazdy, góry, drzewa i kamienie powinny się składać z całego szeregu takich małych, malutkich kuleczek. Podobnych do siebie jak dwie krople wody. Zaraz założył sobie szkiełko na oko i z uwagą spojrzał w głąb rzeczy.

— Miałem rację — ucieszył się — jest właśnie tak, jak myślałem. Wszędzie kuleczki, jednakowe kuleczki. Zatem zgadza się: tam bogactwo nieprzebrane form — tu skończona prostota, tam wielość — tu jedność. Taka jest materia świata.

Rozgrzany sukcesem z materią spojrzał odważnie w niebo.

— No tak — to wszystko tam, ten księżyc i słońce i te gwiazdki to też przecież nie jakieś tam kawałki sreberka przyszpilone do czarnego aksamitu! No nie — to byłoby zbyt prymitywne. Założę się — tu wydął wargi i cedził z rozmysłem — założę się, że to również kule tyle, że ogromne i oddalone. Wobec tego muszę przyjąć, iż to na czym stoję jest również powierzchnią kuli — dodał po krótkim namyśle. Wszystko to razem — zapalał się coraz bardziej — unosi się w przestrzeni, która nazywa się... — no powiedzmy: Gozmoz. Albo nie! Kosmos — to lepiej brzmi.

— Unosi się i porusza — uzupełnił wywód, a w tym momencie wszystkie ciała niebieskie — wymienione i nie wymienione ruszyły z kopyta. Ziemia również skoczyła do przodu, a człowiek tylko dlatego nie został wyrzucony w przestrzeń, że zdążył na szczęście pomyśleć o przyciąganiu się ciał wszelkich, czyli powszechnej grawitacji.

Potoczył więc dumnie wzrokiem wokół.

— Widzisz kobieto — rzekł — świat wygląda całkiem inaczej od tego, który znaliśmy będąc w Raju.

— Całość jest w ruchu ustawicznym, nawet kiedy zdaje się, że stoi jak wryta. Bowiem ruch, moja droga, rozumiem jako... ledwie zaczął łaskawie wyjaśniać myśl dziwna go naszła i przerwał w pół słowa. Ogarnęły go wątpliwości. Zasadnicze wątpliwości — czy mianowicie wszystko to, co do tej pory odkrył, stanowi już rzeczywiście niezłomny dowód tego, iż świat stworzył się sam, bez niczyjego udziału?

Przecież mogło być tak, że Pan tworzył z materii i ruchu, a nie wspomniał o tym człowiekowi by mu nie zawracać po prostu głowy wszystkimi szczegółami technologicznymi Genezis.

— Jakżesz więc! — wykrzyknął zrozpaczony. — Tyle wysiłku na nic się zdało? Muszę znaleźć koronny dowód. Niezbity i ostateczny.

Siedział długo i myślał, myślał, myślał, aż postanowił zabrać się do dzieła bardziej metodycznie. Trzeba — mówił do siebie — trzeba stworzyć cały aparat naukowy. Tak, naukowy właśnie. Nauka — to jest to czego najbardziej w tej chwili potrzebuję.

Raźno zabrał się do dzieła. Najpierw rozpruł brzuchy po kolei wszystkim żywym stworom, po to, by dociec jak działają — no i właściwie — po co? — dlaczego? działają. Nie znalazł niestety odpowiedzi na żadne z tych pytań, sobie więc z determinacji dziurę uczynił i zajrzał w głąb własnej istoty, przyszło mu bowiem do głowy, że poznawszy siebie wiedział będzie już wszystko. Jednak, gdy spojrzał, przeraził się i zdumiał. Ogarnęły go zawroty głowy od tylu uczuć przeciwnych i musiał odstąpić.

Zniechęcony rzucił się powtórnie na samą materię. Poszło mu nawet nieźle:

— Jeśli wszystkie rzeczy zbudowane są z jednakich kuleczek, to dlaczego różnią się nieraz tak dalece? Sprawa jest mocno niejasna, myślę — ba, pewien jestem, że wszystko byłoby łatwiejsze do zrozumienia, gdyby te kuleczki składały się z jeszcze mniejszych kuleczek i nie były tak znowu bardzo jednakowe Trzeba to sprawdzić czym prędzej!

I pobudował człowiek laboratorium wielkie, a w nim: kolby, palniki, mierniki, wagi — ale mało tego, bo jeszcze mikroskopy, akceleratory. I mierzy, waży, ćwiartuje, rozpędza — buduje wielkie idee. Już na dachu płachta dumnie powiewa. Sztandar nauki.

Aż w końcu zarządził przerwę obiadową szybciutko sporządził hamak, fajkę, ekspres do kawy i proszki od bólu głowy, bo od myślenia spuchła mu jak bania.

Gdy wrócił do pracy zajął się wymyślaniem nazw dla rozmaitych, kolorowych kamieni leżących u stóp. Słońce opadało z wolna ku pierwszemu zachodowi, a on wciąż przechadzał się nerwowo z zaplecionymi dłońmi. Wkrótce też mrok zaczął wpływać pomiędzy zarośla — człowiek zamiast udać się na spoczynek wciąż nie dawał za wygraną — kombinował na wszystkie strony, łączył fakty — jak nie przodem to tyłem, przecież musi pasować! Wyciągał niedojrzałe jeszcze wnioski za oślizłe ogonki, one zaś wyrywały się wrzeszcząc i piszcząc. Szukał dowodu zaglądając w głąb i daleko poza.

Świat ciągle rozszerzał swe granice a Pan siedząc na swym tronie spoglądał w dół i zacierał ręce z uśmiechem.

— Tak, tak — powtarzał coraz — tylko tak dalej człowieku, dobrze ci to idzie.

Praca przy tworzeniu świata raźno posuwała się naprzód.

SŁAWOMIR KUBISA (DEBIUT)

Ucieczka

W Wielkiej Encyklopedii Powszechnej pod hasłem „eskapizm" czytamy: „określenie używane przez krytykę literacką w odniesieniu do tych zajwisk literackich, które charakteryzuje oderwanie się od rzeczywistości, przejawiające się np. w unikaniu problemów nurtujących społeczeństwo, w ucieczce od tematyki życia codziennego". Jacek Sawaszkiewicz opatrując swoją powieść tytułem „Eskapizm", miał na względzie, jak się wydaje, co najmniej trzy cele. Po pierwsze: wyłożył już w tytule zaopatrzone w ironiczny nawias przesłanie powieści. Po drugie: zawarł w nim niejako powód struktury utworu. Po trzecie wreszcie: wytrącił krytykom (a w tym także i niżej podpisanej) broń z ręki, przewidując jak gdyby ich reakcje i argumenty.

„Eskapizm" zbudowany został z trzech głównych części (Ziemia, Kosmos, Ziemia), a w ramach tych działów — z drobnych ułamków faktów, zdarzeń, wyobrażeń, które składają się na barwną pozornie i wielostronnie oświetloną mozaikę. Autor wielokrotnie powraca do zdarzeń już raz opisanych, przywołuje po raz kolejny te same sytuacje i rozmowy. Cel tego zabiegu wyjaśniać się ma jak gdyby sam przez się. „Eskapizm" bowiem jest podobnie jak poprzednia powieść Sawaszkiewicza, „Katharsis", książką autotematyczną, opartą na motywie pisania. Jest to zatem powieść w powieści, literatura w literaturze — chwyt interesujący choć skądinąd nienowy. Niestety jednak cała ta scena osób i zdarzeń, która w różnych konfiguracjach kręci się przed oczami zdumionego czytelnika, wywołuje uczucie totalnej pustki, więcej nawet, wieje z niej kosmiczną nudą. Wysiłk bohatera powieści, Mike'a Cesara, który w bólach i męce pisze swój „Eskapizm", wydają się tak samo niecelowe i bezpłodne jak autorska próba napisania utworu bogatego w podteksty i celne sformułowania, ukazującego świat przeżyć psychicznych i obsesji człowieka.

A przecież, jak by się wydawało, Sawaszkiewicz uczynił w tym celu sporo. Mike Cesara zagłębia się w siebie, by móc nie tylko napisać powieść swojego życia, ale przede wszystkim — by zrozumieć to, co wydaje mu się niepojęte. Skutkiem kosmicznej wyprawy Mike'a i jego żony Leslie, są narodziny Tajemnicy, która zresztą nie jest do końca w powieści rozwikłana. Owa dziwna postać, Nep, który potem rozdwaja się i występuje w osobach pilotów zmarłych w tajemniczych okolicznościach na Trytonie, uosabia lęki i obsesje obojga głównych bohaterów, które jednak nie zrodziły się w kosmosie, ale na Ziemi. Kosmiczne przeżycia i przygody bohaterów to tylko jak gdyby didaskalia, tekst poboczny, w stosunku do ich życia na Ziemi. To stwierdzenie wpisane w książkę Sawaszkiewicza wydaje mi się najbardziej odkrywcze i cenne. Ziemia wyjaśnia się przez „kosmos", oddalenie, dystans, szerszą perspektywę, w której losy ludzkie zyskują inny wymiar.

Gdyby autor konsekwentnie przeprowadził w powieści tę myśl, tytuł „Eskapizm" brzmiałby rzeczywiście tylko jako ironiczny komentarz. Gdyż nie jest ucieczką od rzeczywistości próba wyjaśnienia jej przy pomocy dystansu, który służy poznaniu naszego świata. Niestety, Sawaszkiewicz nie umiał być konsekwentny — zbyt interesowały go zabawy z fabułą i strukturą tekstu. Bohaterowie powieści żyją jak gdyby za szklaną szybą, inni ludzie właściwie dla nich nie istnieją, jest tylko ta rzeczywistość, którą sami tworzą: świat literackich marzeń Mike'a, macierzyńskich obsesji jego żony, świat pilotów klasy „S", którzy godzinami oglądają telewizję sącząc przez słomkę szlachetne trunki.

A więc — eskapizm. — Dlaczego jednak Mike Cesara ucieka? Nie jest to tylko ucieczka w domowe zacisze spragnionego samotności twórcy. Jest to także odwrócenie się plecami od rzeczywistości, która go przerasta, która stawia mu opór. Ucieczką od niej jest i kosmos, i meandry twórczości artystycznej.

Powieść Sawaszkiewicza budzi zatem uczucia ambiwalentne. Z jednej strony — jest to utwór interesujący i głęboki, autor szuka tu nowych rozwiązań dla literatury science-fiction, próbuje zmienić typowe dla niej propozycje „ziemi" i „kosmosu". Z drugiej strony jednak „Eskapizm" jest książką pretensjonalną, obfitującą w artystyczne i myślowe mielizny. Dlatego właśnie z niecierpliwością czekam na następną powieść Sawaszkiewicza, której zarys mieści się już w „Eskapizmie" — powieść o kosmosie i ziemi, nie tylko o ucieczkach — ale i o powrotach.

MARIA BARTUS

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego

Notowania giełdowe -kwiecień'83

Kwietniowa giełda SFAN — CLUBU była od poprzedniej nieco skromniejsza. 23 osoby wystawiły łącznie 178 książek, z czego sprzedano 103 egz. za łączną kwotę 16.640, zł. Cena statystycznej książki sprzedanej wzrosła do 161 zł (ze 135 zł w marcu i 114 zł w lutym.).

1. E. Morski „W pogoni za czarnym karłem" — 850 zł
2. R. Unkiewicz „Skradzione głosy" — 700 zł
3. K. Ziemięcki „Schron na Placu Zamkowym" (kseroodbitka) — 700 zł
4. B. Żarnowiecki „Rok 1975" — 600 zł
5. R. Silverberg „Człowiek w labiryncie" — 550 zł
6. A. Clark „Piaski Marsa" — 450 zł
7. K. Boruń, A. Trepka „Kosmiczni bracia" — 400 zł
8. — „Kryształowy sześcian Wenus" — 400 zł
9. J. Tuwim „Polska nowela fantastyczna" — 300 zł
10. A. Poleszczuk „Znak z kosmosu" — 260 zł
11. M. Oramus „Senni zwycięzcy" — 260 zł
12. H. G. Wells „Pierwsi ludzie na księżycu" — 250 zł
13. — „Wakacje cyborga" — 240 zł
14. W. Umiński „Na drugą planetę" — 220 zł
15. R. Bradbury „Dziecko jutra" — 220 zł.

Ponadto sprzedano jeszcze 9 książek po 200 zł.

A teraz dla porównania notowania z łódzkiej giełdy opracowane przez kolegów z Oddziału PSMF w Łodzi:

1. TOLKIEN „Władca pierścieni"
2. VONNEGUT „Niech Pana Bóg błogosławi Panie Rosewater"
3. DICK „Słoneczna loteria"
4. VONNEGUT „Pianola"
5. Antologia „Kryształowy sześcian Wenus"
6. SMUSZKIEWICZ „Zaczarowana gra"
7. HARRISON „Planeta śmierci"
8. ZAJDEL „Limes inferior"
9. DICK „Człowiek z wysokiego zamku"
10. ASIMOV „Koniec wieczności"
11. LEM „Wizja lokalna"
12. BENOIT „Atlantyda"
13. Antologia „Wakacje cyborga"
14. MORSKI „W pogoni za czarnym karłem"
15. COOPER „Testament Overmana"

Rozpiętość cen na giełdzie: 30 — 1800 zł. Średnia cena za sprzedaną książkę 120 zł (w marcu — 150 zł).

Korzystając z okazji serdecznie proszę łódzkich kolegów o listy giełdowe z cenami. Redagując listę SFAN CLUBU przyjęliśmy zasadę podawania najwyższej ceny jaką dany tytuł uzyskał na giełdzie. Sądzę, że ciekawe byłoby właśnie porównanie cen książek w różnych miastach.

M. D.

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

Trzy całkiem różne sprawy

MAŁGORZATA KONDAS

Napadu na bank w Chicago dokonano czternastego lipca o czwartej po południu. Gangsterzy porwali ze sobą jako zakładników kasjera. Był nim Joe Carpanter. Stał się sławny z dnia na dzień, chociaż nie wiadomo czy sobie tego życzył. Prawdopodobnie nic nawet nie wiedział. Co gorsza, policja też nic nie wiedziała ani o jego losie, ani o zrabowanych pieniądzach. Gangsterzy dosłownie rozpłynęli się. Akcja została przeprowadzona błyskawicznie.

W banku było sporo klientów i nikt nie zauważył że większą ich część stanowią młodzi, brodaci ludzie w ciemnych okularach. Tak wielu jest brodatych, wszyscy chodzą w dżinsach, a w letni, słoneczny dzień ciemne okulary są całkiem naturalne, nawet wewnątrz budynku. Świadkowie nie umieli podać ani jednego charakterystycznego szczegółu, który mógłby naprowadzić na ślad przestępców.

Pewna starsza pani zauważyła moment opuszczenia przez Carpantera okienka. Wydało jej się dziwne, że tak bez słowa wstaje i wychodzi. W ręku trzymał dużą torbę. Inny świadek zaobserwował, jak ktoś wziął od kasjera torbę, ujął go pod rękę i razem wyszli.

W toku dalszego śledztwa ustalono, że kasjer nie uruchomił przycisku alarmowego. Na biurku sąsiadującej z nim koleżanki znaleziono notatkę, która była prawdopodobnie pisemnym poleceniem, jakie otrzymał od terrorystów. Zawierała żądanie zapakowania całej gotówki do podanego mu worka i groźbę na wypadek, gdyby zdecydował się użyć przycisku alarmowego. Kasjerka z następnego okienka przez dłuższy czas nie zauważyła nieobecności kolegi. Po kilkunastu minutach znalazła kartkę i wszczęła alarm. Było jednak za późno na ujęcie przestępców.

Niezwykła łatwość z jaką został dokonany napad budziła powszechne zdziwienie. Prasa atakowała policję za nieskuteczne śledztwo. Niektórzy reporterzy sami próbowali dedukować, ale sprawa nie posuwała się naprzód. Co stało się z kasjerem? Nie znaleziono jego ciała. Były domniemania, że współpracował z porywaczami. Gazety raczyły swoich czytelników wywiadami z żoną i kolegami kasjera, z których nic nie wynikało.

Udany napad na bank jest nie lada sensacją, ale trudno pisać w nieskończoność o wydarzeniu, któremu nie przybywa nowych faktów. Wyczerpano domniemania i zajęto się czym innym.

Nagle, po dwóch miesiącach sprawa niespodziewanie odżyła. Odnalazł się kasjer! Redaktorzy rezerwowali szpalty pierwszych stron gazet na rewelacyjne wywiady i... nic. Carpanter twierdził, że absolutnie niczego nie pamięta. Opowiedział jak został porwany, a potem wyrzucony do rowu z pędzącego samochodu. Następnie obudził się w szpitalu — to wszystko.

— Wierzyć, czy nie wierzyć? — zastanawiali się dziennikarze i ich czytelnicy. Od chwili napadu do odnalezienia nieprzytomnego kasjera w rowie upłynęło dwa miesiące i pięć dni. Nie mógł przecież leżeć tam tak długo.

Po rekonwalescencji, kiedy Carpanter czuł się na tyle dobrze, żeby udać się na wizję lokalną, wskazał bezbłędnie miejsce, gdzie gangsterzy wypchnęli go z samochodu. Był to ten sam odcinek drogi, gdzie w dwa miesiące później znalazł go dostawca mleka Jim Eighton.

Nigdy nie udało się wyjaśnić gdzie był, ani co robił kasjer przez dwa miesiące, kiedy szukała go cała policja stanowa.

Druga sprawa, którą chcę opowiedzieć, znacznie mniej poruszyła opinię publiczną, bo mało była znana. Dotyczyła właściwie wąskiego grona przyjaciół zmarłego profesora Karskiego i oczywiście osób zainteresowanych jego badaniami.

Stanley Karski, był człowiekiem skromnym, nie lubiącym rozgłosu. Nie dbał zupełnie o popularność, chociaż, moim zdaniem, miał do niej uzasadnione prawa. Swoimi osiągnięciami naukowymi chętnie dzielił się z zespołem instytutu, którego był szefem. Postępował akurat odwrotnie niż robi to wielu na jego miejscu. Podziwiałam jego altruizm i nieraz namawiałam do odrobiny egoizmu. Nie wszyscy bowiem jego współpracownicy doceniali w pełni to, co dla nich robił. Większość jednak — przyznać trzeba — zdawała sobie sprawę, że gdyby nie wspaniała osobowość profesora niewiele byliby w stanie osiągnąć w tej, tak trudnej, specyficznej dziedzinie.

Transformacja podświadomości w sferę informacji czytelnej jest procedurą bardzo rozległą. Najogólniej rzecz ujmując stawia sobie za cel zbudowanie takich instrumentów, które pozwoliłyby w sposób obiektywny ocenić i udostępnić informacje nagromadzone w podświadomości. Najprymitywniejszym tego typu urządzeniem jest różdżka. Przy jej pomocy ludzie o wyrobionej wrażliwości mogą wskazać podziemne wody, niekiedy złoża mineralne.

Chodzi zatem o zbudowanie obiektywnego urządzenia, które byłoby zdolne odczytać kod podświadomości i przetłumaczyć go na język potoczny. Tak w skrócie można by przedstawić problem podstawowy działalności instytutu.

Profesor Karski był wybitnym uczonym, bliskim osiągnięcia postawionego sobie celu, niestety nie zdążył dokończyć dzieła swojego życia. Wiedział, że śmierć jest blisko i bardzo spieszył się, żeby ją uprzedzić. Ostatnie trzy miesiące pracował prawie w samotności nie chciał żeby mu przeszkadzano. Nie miał już czasu na rozmowy o czymkolwiek innym. Codziennie wysyłał do instytutu partię rękopisów zawierających wiele cennych przemyśleń, projekty doświadczeń, których wyników nie będzie już mógł oglądać. W chwili jego śmierci dzieło było niestety na tyle niekompletne, że pracownicy instytutu nie byli w stanie go ukończyć.

Sprawa „Nieznajomego" nie powinna była w ogóle trafić do gazet, ale stało się inaczej. Zawsze znajdzie się wścibski reporter, który coś wyniucha lub namówi kogoś na niepotrzebne zwierzenia. Można by się upierać, że ta akurat sprawa łączy się z poprzednią, bo dotyczy tego samego instytutu, a nawet problemu. Czy jednak jej bohater miał rzeczywiście coś wspólnego z profesorem Karskim? Po śmierci profesora w instytucie panowało powszechne przekonanie, że najpraktyczniej będzie rozejrzeć się za inną pracą. Co zapobiegliwsi byli już w trakcie załatwiania nowych posad. Instytut nadal dysponował funduszami i całym świetnie zorganizowanym zapleczem, ale nikt nie wierzył, że zaplanowane przez profesora doświadczenia mogą dostarczyć wyników, na podstawie których uda się naprawdę zbudować wymyśloną przez niego maszynę.

Nowe kierownictwo opracowało teoretycznie wariantowe wyniki i odpowiednie programy poleciło skalkulować komputerowi. Nic z tego nie wyszło.

Sekretarka instytutu, osoba już niemłoda, nie mogła pogodzić się z myślą, że będzie musiała szukać nowej pracy. Wszyscy o tym wiedzieli i dlatego, kiedy przyniosła tę niespodziewaną korespondencję szef odniósł się do niej bardziej sceptycznie, niż gdyby dostarczył mu ją ktoś z młodych zapaleńców.

Manuskrypt zawierał dwadzieścia stron starannego pisma. Z całą pewnością nie było to pismo zmarłego profesora, z drugiej jednak strony, kto mógł być aż tak wprowadzony w temat? Nadawca nie podał adresu, a nawet się nie podpisał.

Następnego dnia poczta przyniosła znowu dwudziestopięciostronicowy elaborat. Tajemniczy nieznajomy zdawał się zgadywać trudności z jakimi borykali się naukowcy. Po trzecim liście stało się oczywiste, że tylko współpraca z nim może utrzymać instytut przy jego dotychczasowej działalności. Rada nadzorcza chciała zaproponować mu stanowisko, ale odszukanie nadawcy listów okazało się niemożliwe. Codziennie dawano ogłoszenia do lokalnej gazety z prośbą, żeby podał swój adres, on jednak milczał. Korespondencja nadal napływała regularnie.

Sensacja, którą znało początkowo wąskie grono, zataczała coraz szersze kręgi, aż któregoś dnia pojawił się w instytucie wścibski dziennikarz, który wszystko opisał.

Ameryka zaczęła się emocjonować poszukiwaniem anonimowego geniusza W prasie przytaczano nawet jego teksty, z których laicy niewiele rozumieli, ale tym większy budziły one podziw. Kim jest nie znany uczony i dlaczego zależy mu na zachowaniu incognito?

Zaczęto podejrzewać każdego, kto lubił zamykać się w swoim pokoju i coś pisał. Policja zasypywana była ogłoszeniami, że „to na pewno on..."

Sytuacja stawała się trudna, bo jeżeli nawet wśród „zadenuncjowanych" znajdował się poszukiwany geniusz, to co? Pisanie listów do instytutu nie jest przestępstwem i nikt nie ma prawa do jakiejkolwiek interwencji. Pomógł dopiero ten sam wścibski reporter, który wywęszył całą sprawę. Załatwił z policją, że jemu przekazano zgłoszenia.

Odwiedzał teraz matki podejrzewające swych synów o ukryty geniusz, zaniedbywane żony snujące domniemania o potajemnym uprawianiu nauki przez ich mężów, poznawał wielu dziwnych i jeszcze więcej całkiem pospolitych ludzi. Aż pewnego razu...

Dom pani Salvador na High Street był pensjonatem raczej tanim, mimo to do przeludnionych nie należał i swoich pięciu lokatorów gospodyni znała bardzo dobrze. Szóstym był Mr. Scoth. Mieszkał od niedawna i z nikim się nie zadawał. Wychodził raz dziennie po zakupy i... na pocztę. Pani Salvador uważała, że to nie jej sprawa, gdzie chodzi ani co robi, jednak wobec całej tej wrzawy wokół tajemniczego naukowca nie mogła zostać obojętna.

Kiedy zjawił się u niej reporter, okazało się, że lokator znikł. Ostatni list, jaki otrzymał instytut pochodził z tego właśnie dnia i zawierał końcowy opis projektu maszyny profesora Karskiego. Chociaż, czy w tych warunkach można ją nazwać jego nazwiskiem? Sam list różnił się trochę od pozostałych, zawierał bowiem w uzupełnieniu refleksje, które można by uznać jedynie za dygresje do zasadniczego tematu. Autor nawiązuje do wierzeń tybetańskich o reinkarnacji duszy i rozpatruje możliwość przekazywania tą drogą informacji zakodowanych w podświadomości. Mózg w chwili agonii wydatkowuje cały posiadany zasób energii, która nie musi ulec rozproszeniu, jeżeli trafi na „pusty" mózg nowo narodzonego, lub inny pozbawiony aktualnie świadomości.

I to już wszystko. Aha, jeszcze jedno. Czternastego lipca został porwany i wyrzucony z samochodu kasjer. Tego samego dnia zmarł profesor Karski. Również czternastego lipca zameldował się Mr. Scoth u pani Salvador. Natomiast dziewiętnastego września został znaleziony przez mleczarza w przydrożnym rowie nieprzytomny kasjer. Mr. Scoth znikł, a instytut otrzymał ostatnią cenną przesyłkę. ■

Rys. Przemysław Ul[illegible]owski

Verne nadal zagadkowy

JEWGIENIJ KRIUCZNIKOW

Jak wielu ludzi w moim wieku, również i ja zaczytuję się fantastyką. Oprócz pasjonujących przygód, zachęca też możliwość zaglądania w przyszłość, bez „maszyny czasu" można ujrzeć przyszłe stulecia.

Ale na ile prawdziwe są przepowiednie współczesnych pisarzy-fantastów?

Wydaje mi się, że można to stwierdzić, studiując starą fantastykę i porównując ją z tym, co urzeczywistniło się naprawdę. Według mnie, najwybitniejszym przykładem „widzenia poprzez czas" jest twórczość J. Verne'a. Mam na myśli nawet nie rozrzucone po jego książkach liczne przepowiednie naukowo-techniczne (wszystkie z reguły mają charakter jakościowy i wynikają z ekstrapolacji już istniejących osiągnięć techniki), a zadziwiającą „ilościowo" prognozę zawartą w powieści „Wokół Księżyca", która napisana została 100 lat wcześniej niż zrealizowano praktycznie pilotowany lot wokół Księżyca.

O zbieżnościach między dwoma lotami — wymyślonym (lot pocisku z „Kolumbiady") i prawdziwym (odyseja księżycowa „Apolla — 8") opowiedziano np. w książce znanego radzieckiego krytyka i literaturoznawcy E. Brandysa pt. „Razem z Juliuszem Verne". Każdy z pojazdów kosmicznych posiadał trzyosobową załogę, oba startowały w grudniu z Florydy, oba weszły na orbitę wokółksiężycową (co prawda „Apollo" wykonał osiem pełnych okrążeń Księżyca, podczas gdy jego fantastyczny „poprzednik" tylko jedno), oba przeszły przy pomocy silników rakietowych na powrotną trajektorię aby znów w grudniu wodować w tym samym rejonie Oceanu Spokojnego (odległość między punktami wodowania wynosiła raptem 4 km)! Wymiary i masa obu pojazdów też praktycznie są identyczne: wysokość pocisku Verne'a — 3,65 m, waga 5547 kg; wysokość kapsuły „Apollo" — 3,60 m, waga 5621 kg.

Cała seria nieprawdopodobnych zbieżności! Co się za tym kryje?

I wreszcie, uderzył mnie jeszcze jeden moment. W czasach J. Verne'a literatura popularnonaukowa jeszcze nie istniała, dlatego pisarz, który uważał oświatową rolę swoich książek za jedną z ważniejszych, co chwila wplata w tok narracji obszerne fragmenty o charakterze popularnonaukowym, oparte na najnowszych danych. I nagle w powieści „Wokół Księżyca" opisuje zdarzenie, które jest do reszty, jak to się mówi „ni przypiął, ni przyłatał". Mówię o epizodzie, kiedy pocisk „Kolumbiady" leci w ciemności nad drugą stroną Księżyca, a bohaterowie Verne'a zgadują, jak też ta druga strona może wyglądać:

„Nagle w głębokich ciemnościach ukazała się jakaś ogromna masa. Był to jak gdyby Księżyc, lecz Księżyc gorejący, o niezwykle rażącym blasku, tym bardziej oślepiający, że odcinał się wyraźnie na tle bezwzględnego mroku przestworzy. Masa ta, okrągłego kształtu, rzucała intensywny blask, który wypełnił całe wnętrze pocisku. Twarze podróżników, skąpane w strumieniach tego białego światła, były bladosine, nabierające owego upiornego wyglądu, jaki daje zwykle światło uzyskane przez spalanie spirytusu nasyconego solą.

— Co u diabła? — zawołał Michał. — Ależ my ohydnie wyglądamy! Cóż to za okropny Księżyc?!

— To bolid — odparł Barbicane.

— Bolid płonący w próżni?

— Tak jest.

Owa płonąca kula była rzeczywiście bol[illegible]. Barbicane nie mylił się. Meteory kosmiczne, widziane z Ziemi, świecą zazwyczaj słabiej niż Księżyc, lecz tu, w mrocznym eterze, po prostu promieniały. Te wędrujące ciała żarzą się same z siebie; aby gorzeć nie muszą być otoczone powietrzem. Istotnie, niektóre bolidy przecinają warstwy atmosferyczne w odległości dwóch, trzech mil od Ziemi, ale są i takie, które biegną w olbrzymim oddaleniu, gdzie nie sięga już atmosfera. Na przykład bolid, który ukazał się 27 października 1844 roku, widoczny był na wysokości stu dwudziestu ośmiu mil, inny znów zjawił się 18 sierpnia 1841 roku, znikł w odległości stu osiemdziesięciu dwu mil od Ziemi. Meteory te mają czasami trzy do czterech kilometrów szerokości i poruszają się z prędkością dochodzącą do siedemdziesięciu pięciu kilometrów na sekundę w kierunku odwrotnym do biegu Ziemi.

Owa pędząca kula, która nagle ukazała się wśród mroku, w oddaleniu co najmniej stu mil, mogła mieć, według obliczeń Barbicane'a, dwa tysiące metrów średnicy. Posuwała się z szybkością około dwu kilometrów na sekundę, to jest trzydziestu mil na minutę. Przecinała trasę pocisku i powinna była zetknąć się z nim za kilka minut. W miarę zbliżania się rosła do ogromnych rozmiarów."

Według mnie jest to najdziwniejsze miejsce we wszystkich utworach francuskiego pisarza. Nie mógł przecież nie wiedzieć, że w próżni meteory nie płoną. Przecież Verne był jednym z bardziej wykształconych ludzi swojej epoki, znał osobiście wielu uczonych XIX w. W tym także astronomów.

„TIECHNIKA MOŁODIOŻY" nr 4/83

Tłum. E. M.

Wojenne dzieje pilotów i maszyn LOT-u

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Po dziesięciu latach egzystencji — w okresie międzywojennym — Polskie Linie Lotnicze „LOT" dysponowały nowoczesnym sprzętem, samolotami o klasie światowej, będącymi wówczas szczytem techniki lotniczej. Tabor „LOT-u" stanowiło osiemnaście samolotów pasażerskich: dwa dwusilnikowe Douglasy DC-2, siedem dwusilnikowych Lockheedów, 10A „Electra", osiem dwusilnikowych Lockheedów 14H „Super Electra" o zasięgu 3.100 km oraz jeden trójsilnikowy samolot typu Junkers Ju-52. Poza tym na stanie przedsiębiorstwa było osiem samolotów przeznaczonych do innych celów: cztery trójsilnikowe Fokkery FVII 3 m, dwa samoloty rodzimej konstrukcji: PWS-24, jeden jednosilnikowy Fokker VII 1m oraz jeden samolot RWD-13.

Na krótko przed wybuchem II wojny światowej pracowało w „LOT" sześćset dziewięćdziesiąt dziewięć osób, w tym 31 pilotów, 20 radiooperatorów i 10 mechaników pokładowych. Tylko nieliczne towarzystwa lotnicze na świecie w owym czasie mogły się pochwalić pilotami, którzy przelecieli w powietrzu milion kilometrów. Tymczasem w PLL „LOT" było aż dziesięciu takich pilotów: Kazimierz Burzyński, Klemens Długaszewski, Tadeusz Karpiński, Jerzy Mitz, Stanisław Płonczyński, Mieczysław Witkowski, Ludwik Tokarczyk, Zygmunt Barciszewski, Włodzimierz Klisz i Franciszek Pecho. Przed wrześniem 1939 roku każdy z nich był bliski osiągnięcia półtora miliona kilometrów za sterami samolotów komunikacyjnych.

Przyszłość Polskich Linii Lotniczych „LOT" zapowiadała się wspaniale, lecz napaść hitlerowskich Niemiec na Polskę i wybuch II wojny światowej we wrześniu 1939 roku przerwały rozkwit polskiej komunikacji lotniczej.

Ponieważ już w sierpniu 1939 roku sytuacja polityczna w Europie bardzo się zaostrzała, dyrekcja PLL „LOT" w dniu 30 sierpnia wydała zarządzenie, aby wszystkie samoloty pasażerskie z lotnisk krajowych i zagranicznych powracały do Warszawy i Lwowa. Jak jaskółki do gniazda zlatywały się ze wszystkich zakątków Europy samoloty „LOT".

W pierwszych dniach wojny Szefostwo Lotnictwa Komunikacyjnego przy Sztabie Naczelnego Dowództwa Lotnictwa usiłowało utrzymać jeszcze komunikację z Helsinkami, gdyż inne linie były już zawieszone. Toteż cztery samoloty PLL „LOT" wykonały po kilka lotów na trasie: Wilno—Ryga—Tallin—Helsinki. Poza tym kilka samolotów Lockheed 14H „Super Electra" wykonało szereg lotów kurierskich dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych — do Sztokholmu, Helsinek, Budapesztu i Bukaresztu.

W dniu 1 września ówczesne władze estońskie bezprawnie internowały polskiego Lockheeda 14H, ze znakami rejestracyjnymi SP-BPN. Tego samego dnia inny Lockheed 10A z rejestracja: SP-BGF wykonał lot do Bukaresztu i tam już pozostał, internowany przez władze rumuńskie. I tak zaczęła się odyseja polskich samolotów komunikacyjnych.

W pierwszych dniach wojny ewakuowano z Okęcia siedemnaście samolotów „LOT-u" na polowe lotnisko Obory, w rejonie Grójca, które miały być pomalowane na kolor ochronny i skierowane na lotniska polowe w okolicach Lwowa. Z sześciu Lockheedów 10A w dniach 4 i 5 września — dwa poleciały do Węgrowa, a dwa inne do Żołudka pod Lidą, jeden poleciał do Wiszenki pod Lwowem, a inny do Żabczyc w rejonie Pińska. W następnych dniach cztery samoloty tego typu przeleciały do Żabczyc, aby stamtąd 12 września wykonać lot do Czerniowiec i dalej do Bukaresztu, gdzie już pozostały. Podobny los spotkał Lockheedy 14H w ilości czterech maszyn, które również w pierwszych dniach września poleciały do Bukaresztu i do Polski już nie powróciły.

Natomiast 6 września samolot „LOT-u" — Douglas DC2 z rejestracją SP-ASL wykonał lot do Bukaresztu, gdzie fikcyjnie sprzedano go brytyjskiemu przedsiębiorstwu komunikacji lotniczej. Los ośmiu Lockheedów i Douglasa był już przesądzony i należało te maszyny spisać na straty. Wszystkie te samoloty zostały fikcyjnie sprzedane angielskiemu towarzystwu „Imperial Airways" i otrzymały brytyjskie znaki rejestracyjne. Rejestracja angielska miała ułatwić dalsza ewakuację tych samolotów do Almaza koło Kairu. Niestety angielskie znaki rejestracyjne nie zostały namalowane na polskich samolotach. Anglicy do końca kwietnia 1940 roku czynili starania o ich ewakuację, lecz władze rumuńskie — mimo rejestracji brytyjskiej — zatrzymały polskie samoloty do własnego użytku.

Jedna „Electra" została uszkodzona w dniu 16 września pod Horodenką i tam pozostała, a druga maszyna tego typu następnego dnia pozostała w Kołomyi. Część samolotów „LOT-u" wysłano pierwszego dnia wojny na lotnisko Małaszewicze, gdzie uległy zniszczeniu podczas bombardowania lotniska przez hitlerowską Luftwaffe, w dniach 1 i 3 września. Samoloty będące w remontach pozostały na Okęciu i dostały się w ręce Niemców.

W połowie września 1939 roku — wskutek nacisku rządu III Rzeszy na kraje bałtyckie — władze łotewskie internowały w Rydze polskiego Douglasa DC2 z rejestracją SP-ASK, a władze estońskie zatrzymały w Tallinie Lockheeda 14H. Jednak piloci obu Lockheedów — Klemens Długaszewski i Leonard Satel — nie dali za wygraną i zdecydowali się polecieć do Wielkiej Brytanii. Zamiar swój wykonali nazajutrz, startując z Tallina i lecąc przez Sztokholm i Stavanger do Szkocji, gdzie szczęśliwie wylądowali. Wkrótce do Anglii przybył trzeci Lockheed 14H, którego załogę wybuch wojny zastał w Kopenhadze. Te trzy maszyny nie podzieliły losu samolotów „LOT-u", które poleciały do Rumunii. Od lutego 1940 roku latały w angielskim lotnictwie transportowym we Francji, pod polskimi znakami rejestracyjnymi, biorąc udział w ewakuacji żołnierzy z Francji w czerwcu 1940 roku. Jeden z Lockheedów nie powrócił już z Francji do Anglii, a pozostałe dwa oznakowano rejestracją brytyjską, lecz zachowały polskie nazwy: „Lublin" i „Łowicz". Samoloty te długo jeszcze latały w służbie angielskiego lotnictwa transportowego. W roku 1944 stwierdzono korozję konstrukcji w Lockheedzie 14H-SP-LMK i wycofano go z lotów, a w roku 1946 za zgodą władz polskich samolot skasowano.

Najdłużej w angielskim lotnictwie transportowym latał Lockheed 14H „Super Electra" z rejestracją: SP-BNF, bo aż do 1946 roku. Po czym samolot oddano do dyspozycji władz polskich, które jednak samolotu nie repatriowały. Do roku 1951 służył jeszcze w kilku towarzystwach lotniczych angielskich i sprzedany do Szwecji wykonał jeszcze wiele lotów, kończąc swój żywot w tym samym roku, gdy rozbił się i spłonął na lotnisku Sztokholm-Bromma. Tak zakończyła się wojenna tułaczka samolotów PLL „LOT".

A jakie były losy personelu „LOT-u"? Niemal cały personel latający i techniczny Polskich Linii Lotniczych „LOT", a nawet część pracowników administracyjnych ewakuowano w pierwszych dniach wojny 1939 roku do Rumunii. Większość załogi „LOT-u" z niesłychanym poświęceniem, a często i narażaniem własnego życia broniła i ratowała znajdujący się w Rumunii sprzęt lotowski — już wtedy myśląc o pracy w lotnictwie komunikacyjnym po zakończeniu wojny. Nie przypuszczali tylko wówczas, że wojna potrwa tak długo. Prawie cały personel latający i techniczny przedzierał się później z Rumunii przez Grecję do Francji, a potem do Wielkiej Brytanii, gdzie walczył i pracował w polskich dywizjonach bombowych, w lotnictwie transportowym, zakładach i instytutach lotniczych, sławiąc i potwierdzając dobre imię polskich pilotów, inżynierów, techników i mechaników.

W podobny sposób dostał się do Wielkiej Brytanii — po wielu perypetiach — szef personelu technicznego PLL „LOT" — Juliusz Koch. Początkowo pracował w remontowych warsztatach naprawczych sprzętu lotniczego w Warrington, a następnie w przedsiębiorstwie komunikacji lotniczej BOAC (British Overseas Airways Corporation), w charakterze kontrolera technicznego silników i płatowców.

Natomiast dyrektor naczelny PLL „LOT" — ppłk pil. Wacław Makowski znalazł się już w Anglii w końcu 1939 roku, organizując w grudniu instruktorską szkołę pilotów w Upavon. W 1940 roku, w stopniu pułkownika objął dowództwo pierwszego polskiego dywizjonu w Wielkiej Brytanii — 300 Dywizjonu Bombowego Ziemi Mazowieckiej, z którym w dniu 23 marca 1941 roku poleciał na bombardowanie Berlina. Był to pierwszy nalot na Berlin wykonany przez Polaków w II wojnie światowej! W tym samym roku płk. pil. inż. Makowskiego powołano na dowódcę stacji lotnictwa bombowego w Lindholm, na której stacjonowały polskie dywizjony bombowe: 304 Ziemi Śląskiej i 305 Ziemi Wielkopolskiej. W 1944 roku powołano płk. pil. inż. Makowskiego na dowódcę stacji lotnictwa transportowego, skupiającej sto polskich załóg z czterdziestoma czterosilnikowymi samolotami typu Handley Page „Halifax". Zadaniem tej stacji było dostarczanie samolotami transportowymi: żywności, lekarstw, odzieży krajom okupowanej Europy, jak również zrzuty zasobników z bronią i amunicją dla ruchu oporu tych krajów.

Jeden z pierwszych „milionerów" przedwojennego „LOT-u" — Klemens Długaszewski po udanym przelocie z Tallina do Szkocji, zgłosił się do lotnictwa transportowego ATA (Air Transport Auxiliary), w którym latał, jako pierwszy Polak, transportując nowe samoloty z zakładów lotniczych na terenie Anglii do dywizjonów bojowych, a zabierając z nich uszkodzone maszyny do remontu. Praca ta wymagała od pilotów specjalnych kwalifikacji, wyjątkowej odwagi, opanowania oraz zachowania zimnej krwi. Piloci ATA latali na wszystkich typach samolotów, używanych w lotnictwie brytyjskim — od jednosilnikowych samolotów szkolnych i myśliwskich do dwu- i czterosilnikowych samolotów bombowych i transportowych. Pilot Klemens Długaszewski latał na siedemdziesięciu typach samolotów. Poza tym oblatywał samoloty fabrycznie nowe i był instruktorem pilotażu dla młodszych kolegów.

W tej samej jednostce latał również inny „milioner" „LOT-u" — Ludwik Tokarczyk. Ten latał na pięćdziesięciu typach samolotów, a ze względu na swoje wieloletnie doświadczenie w zawodzie pilota pełnił funkcję instruktora pilotażu.

W listopadzie 1941 roku skierowano pierwszych sześciu Polaków — doświadczonych pilotów „LOT-u" — do Kanady, przydzielając ich do służby w ATFERRO (Atlantic Ferry Organisation) — Organizacji Atlantyckiego Transportu Dalekodystansowego. Wybrańcami losu zostali: pierwszy „milioner" „LOT-u" kpt. pil. Kazimierz Burzyński, chor. pil. Włodzimierz Klisz, sierż. pil. Jerzy Mitz, sierż. pil. Stanisław Płonczyński, por. pil. Karol Pustówka i st. sierż. pilot Roman Slawiec. Praca w tej jednostce była wyjątkowo trudna i niebezpieczna. Drogą powietrzną transportowano z Kanady samoloty produkcji amerykańskiej i kanadyjskiej, wykonywano loty pasażerskie z dyplomacją i generalicją oraz loty specjalne. Załogi ATFERRO latały ponad spienionymi falami Atlantyku Północnego, startując z Kanady do Prestwicku w Szkocji, do Algieru, Rabatu, Kairu i Akry w Afryce. Latano również do Allhabadu w Indiach i do Birmy. Szlaki załóg tej jednostki wiodły też przez Amerykę Południową i Południowy Atlantyk do Afryki — na Złote Wybrzeże albo nad kontynentem afrykańskim do Indii.

Załogi ATFERRO musiały być odporne na polarne mrozy i pustynne upały. Przelatywali nad bezkresnymi dżunglami, gdzie najmniejszy defekt maszyny czy nieuwaga groziły śmiercią. Samoloty produkowane pośpiesznie dla jednostek bojowych nie były wolne od usterek czy wad konstrukcyjnych, które ujawniały się nieraz dopiero w locie transportowym, co niekiedy załogi przypłacały życiem. Najgorsze jednak było wielogodzinne przebywanie ponad falami wzburzonego oceanu, wśród huraganowych wiatrów, tarmoszących samolotem. Często wypadało latać dosłownie nad spiętrzonymi falami, na wysokości kilkudziesięciu metrów, a ryk fal zagłuszał warkot silników samolotów. Jeżeli dodamy, że przy ówczesnych prędkościach samolotów Atlantyk pokonywano po dwudziestu kilku godzinach morderczego, wyczerpującego lotu, możemy sobie wyobrazić odwagę latających pilotów ATFERRO.

Pierwsi dostarczali samoloty przez Atlantyk do Wielkiej Brytanii piloci amerykańscy. Poza wysoką pensją miesięczną tysiąca pięciuset dolarów, otrzymywali jeszcze premie w wysokości pięćset dolarów za każdy doprowadzony do celu samolot. Polacy byli lepsi i tańsi, gdyż pewniej latali i zadowalali się tylko żołdem.

Przy przelotach ATFERRO obowiązywała cisza radiowa — nie wolno było porozumiewać się radiostacją pokładową podczas lotu z bazami naziemnymi albo morskimi lub samolotami w powietrzu. Chodziło o to, aby Niemcy, czyhający na samoloty transportowe dla sojuszników — myśliwcami i bateriami artylerii przeciwlotniczej tak na ziemi, jak i na okrętach — nie zorientowali się skąd i dokąd prowadzone są samoloty alianckie. Jedynie w przypadku katastrofy wolno było włączyć radiostację na odpowiednią częstotliwość i nadać ostatni, rozpaczliwy sygnał: SOS!

Kapitan-pilot Kazimierz Burzyński, jako pierwszy z Polaków w ATFERRO samodzielnie przeprowadził samolot przez Atlantyk. Wykonał jeszcze dwadzieścia przelotów transatlantyckich i wiele lotów specjalnych. Jemu też przypadł zaszczyt prowadzenia samolotu Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego, podczas jego pierwszej podróży na Bliski Wschód. W ATFERRO kpt. pil. Burzyński wylatał — łącznie z wylatanymi w „LOT" — dwa miliony kilometrów. Niestety, nie dane było doczekać naszemu asowi lotnictwa komunikacyjnego końca wojny i powrócić do kraju. 25 czerwca 1944 roku wystartował do swojego ostatniego lotu. Wkrótce po starcie z lotniska montrealskiego czterosilnikowy „Liberator" zwalił się, płonąc, na skrzyżowanie ulic: Shannon Street i Ottawa Avenue w Montrealu, grzebiąc w swych szczątkach całą pięcioosobową załogę i zabijając piętnastu przypadkowych przechodniów. Przyczyn katastrofy nie ustalono, ale nie wykluczono sabotażu.

W tej samej jednostce latał również por. pil. Stanisław Płonczyński, który nie tylko że był „milionerem" „LOT-u", lecz także znanym pilotem sportowym, biorącym trzykrotny udział w największej międzynarodowej imprezie lotniczej owych czasów: Challenge'u. W ostatnim Challenge, w roku 1934 zajął drugie miejsce po sławnym kpt. pil. Jerzym Bajanie. W ATFERRO wykonał 38 przelotów transatlantyckich i liczne loty specjalne oraz był instruktorem pilotażu.

Podczas II wojny światowej w lotnictwie transportowym Sprzymierzonych latało 399 Polaków, z których 49 poległo śmiercią lotnika. Przeprowadzili oni przez Atlantyk ponad cztery tysiące samolotów, a łącznie z przeprowadzanymi na terenie Anglii do jednostek bojowych — 12.634 samoloty. Przewieźli 25.187 pasażerów i 1.566 ton towarów w lotach specjalnych.

Inni członkowie personelu latającego przedwojennego „LOT-u" pełnili służbę w polskich dywizjonach bombowych w Anglii, latając nad Niemcy, Francję, Włochy, Polskę, Holandię i inne okupowane kraje Europy, zrzucając bomby i zasobniki z żywnością, lekarstwami, odzieżą, bronią i amunicją oraz zrzucali tzw. „cichociemnych". Walczyli z hitlerowskimi łodziami podwodnymi i okrętami Kriegsmarine. Wielu z nich uhonorowano najwyższymi orderami i odznaczeniami bojowymi: polskimi, brytyjskimi, francuskimi i holenderskimi. Ale wielu z nich nie doczekało końca wojny i powrotu do kraju. Ginęli nad III Rzeszą Niemiecką i innymi krajami Europy, w rozszalałych falach Atlantyku, Morza Północnego, Kanału La Manche, Zatoki Biskajskiej, dostawali się też do niewoli niemieckiej. Jednak ci, którzy przeżyli koszmar minionej wojny, powracali do ojczystego kraju, aby znów zasiąść za sterownicami samolotów komunikacyjnych odrodzonego po wojnie „LOT-u".

Po zakończonej wojnie i wieloletniej tułaczce na obczyźnie — gdzie nie próżnowali — powrócili do Polski najlepsi piloci komunikacyjni, a wśród nich kapitanowie piloci: Klemens Długaszewski, nestor polskiego lotnictwa komunikacyjnego, Stanisław Płonczyński, Ludwik Tokarczyk i Mieczysław Witkowski oraz szef personelu technicznego Juliusz Koch. Przez prawie dwadzieścia lat dzierżyli sterownice samolotów ze stylizowanym żurawiem — w odrodzonej Polsce — prowadząc pewną ręką samoloty „LOT-u". Pracowali, jako instruktorzy dla młodszych kolegów i narybku „LOT-u". Każdy z nich może się pochwalić osiągnięciem czterech milionów kilometrów w powietrzu i wylataniem ponad dwudziestu tysięcy godzin w przestworzach. Po czterdziestu latach pracy za sterami samolotów komunikacyjnych doczekali zasłużonej emerytury. Stali się żywą historią Polskich Linii Lotniczych „LOT", wzorem umiłowania zawodu pilota. Oni byli pilotami z prawdziwego zdarzenia.

Na zdjęciu: Klemens Długaszewski, Ludwik Tokarczyk i Stanisław Płonczyński

1

Zdarzenia i zwierzenia

Narodowe mity

Mówi się często, że nie znamy własnej historii. Jest to oczywiście prawda, ale przecież mity historyczne są i tak trwalsze niż historyczna rzeczywistość — więc w tym biadaniu jest sporo faryzeuszostwa. Wolimy bowiem mity — zwłaszcza jeśli są piękne — od siermiężnej prawdy.

Ileż oburzenia i kpin wywołała w dwudziestoleciu międzywojennym publikacja prof. Olgierda Górki na temat mitu obrony Częstochowy w czasie najazdu szwedzkiego — mitu tak sugestywnie i pięknie stworzonego przez Henryka Sienkiewicza. Dziesiątki lat minęły, do pracy prof. Górki dodano nowe ustalenia — a mit jest nadal żywy.

Mity bowiem funkcjonują zupełnie niezależnie od rzeczywistości. Można właściwie powiedzieć, że mit staje się swego rodzaju rzeczywistością i nie ma takiej siły, takiej argumentacji, które potrafiłyby zniszczyć lub zastąpić legendę zbiorem rzeczywistych faktów. Skazane są na niepowodzenia zabiegi badaczy, którzy chcą zdemaskować lub wykpić legendę — przeciwstawiając jej wymysłom realną prawdę.

Oglądam właśnie piękny portret Emilii Plater na litografii de Villaina. Tak on się ma do rzeczywistości jak ballada Adama Mickiewicza „Śmierć pułkownika" do prawdziwych losów panny Platerówny.

A więc najpierw była miniatura anonimowa z połowy XIX wieku — jedyny autentyczny portrecik wyobrażający tęgawą pannę. We wspomnieniach z epoki pisano o niej, że była „niskiej urody" i „podsadkowa". Ale już późniejszy nieco portret Meyeta przedstawia tę samą kobietę, lecz o rysach daleko piękniejszych. Najpiękniejsza jest jednak na litografii de Villaina i taką przedstawił ją Wojciech Kossak projektujący banknoty 20-złotowe w pierwszej połowie lat trzydziestych.

Mniejsza zresztą o portret — jest on tylko typowym przykładem upiększenia rzeczywistości z upływem lat. Platerówna nie była wyjątkiem wśród patriotycznie i romantycznie nastrojonych panien z kresowych dworków. Razem z nią w tym samym oddziale były panny Prószyńska i Raszanowiczówna — ale mickiewiczowska ballada Emilii wyznaczyła rolę symbolu i mitu.

Od generała Chłapowskiego panna Emilia otrzymała wprawdzie grzecznościowy stopień kapitana, ale wraz z propozycją powrotu do domu. Nie dotarła tam jednak — zmarła w Justianowie, ukrywając się — po opuszczeniu oddziału — pod obcym nazwiskiem.

Ale jej prawdziwy życiorys jest mało ważny — jak pisze Bogdan Zakrzewski w szkicu o Platerównie. Jej prawdziwy życiorys istotny jest tylko dla zrozumienia mechanizmów formowania się mitów, a nie do ich demaskowania za pomocą prawdziwych faktów.

Takich mitów jest mnóstwo w każdej narodowej historii — nic więc dziwnego, że jest ich sporo także w naszej. Wielką rolę mitotwórczą spełnia literatura i sztuka. Słynny wiersz Adama Mickiewicza „Reduta Ordona" opisuje bohaterską śmierć oficera powstania listopadowego Juliana Ordona, który wysadził się w powietrze na reducie wolskiej.

W rzeczywistości Ordon po upadku powstania wyjechał za granicę, wędrował po Europie, był z Garibaldim na Sycylii — a umarł we Florencji w 1886 roku, czyli od „poetyckiej" śmierci na Woli przeżył jeszcze pięćdziesiąt pięć lat.

Ale to jest nieważne, bowiem Ordon funkcjonuje w świadomości nie jako prawdziwy człowiek, lecz jako prawdziwy mit.

I tak to jest z mitami. Żyją sobie one zupełnie niezależnie od rzeczywistości. Z ludzi przeciętnych i zwykłych czynią herosów. Wewnętrzna i chyba bardzo ludzka potrzeba mitotwórstwa sprawia, że obok tej prawdziwej historii narodowej istnieje druga — historia narodowych mitów.

JERZY WILMAŃSKI

2

Nie od razu wytrzeźwiejemy

Jak załatwić szefa, którego — z różnych, niekoniecznie słusznych powodów — chcą się pozbyć podwładni? Sposobów dotychczas praktykowanych było kilka, a ostatnio przybył jeszcze jeden. Możliwość taką stworzyła nowa ustawa antyalkoholowa „o wychowaniu w trzeźwości". Otóż wystarczy, aby grupa zainteresowanych zrobiła składkę i wytypowała jednego, który upije się w miejscu pracy. Następnie wystarczy poinformować, kogo trzeba (to już osoby stosujące tego rodzaju metody wiedzą) i... pijący staje przed kolegium, ze składkowych pieniędzy płaci 20 tys. zł grzywny, szef natomiast, jako osoba zobowiązana do nadzoru i niedopuszczania do tego rodzaju praktyk w zakładzie, idzie siedzieć na 2 lata. Wszystko zgodnie z przepisami, oczywiście przy założeniu, że w stosunku do obydwóch zostanie orzeczony najwyższy, przewidziany w ustawie wymiar kary. Proste? W praktyce może nie tak zupełnie, jest to jednak przykład z autentycznej dyskusji, jaka odbyła się w pewnej instytucji, a której tematem, potraktowanym, jak widać, niezupełnie serio, było: co nam daje nowa ustawa?

W innym zakładzie pracy, robotnicy, którym szef ustnie i na piśmie surowo przykazał, że od piątku (tj. od dnia obowiązywania nowej ustawy) „nie wolno pod żadnym pozorem ani kropli", na nocnej zmianie, tuż po północy, wznieśli toast „za zdrowie sejmu", choć bynajmniej nie są ludźmi na co dzień pijącymi. Po prostu na przekór, aby pokazać, że nie straszne im żadne przepisy.

Z plagą alkoholizmu i pijaństwa walczymy od dawna. Poprzednio obowiązująca ustawa antyalkoholowa i rozmaite, doraźnie wydawane przez władze centralne bądź wojewódzkie rozporządzenia i przepisy, zakazujące picia alkoholu w miejscu pracy, ograniczające godziny jego sprzedaży, bądź w inny sposób utrudniające dostęp do alkoholu, nie przyniosły rewelacyjnych wyników. Ale też nie mówiło się o nich tak wiele i tak powszechnie, jak o nowej, od kilku dni obowiązującej ustawie. Z jednej strony to dobrze, bowiem w ten sposób treść jej przepisów dotrze do wszystkich, co daje nadzieje, że i w praktyce będą one realizowane, z drugiej strony — jak sądzę — zbyt nachalne poruszanie tej problematyki, pospieszne, obliczone na szybki efekt działania mogą przynieść to, co niezbyt fachowo nazywa się „przesterowaniem propagandy". Pierwszymi symptomami, zapowiadającymi możliwość wystąpienia takiego właśnie zjawiska, wydają mi się właśnie dwa, zacytowane na wstępie przykłady.

Nie podobała mi się również zaprezentowana niedawno w DTV migawka, w której reporter niezbyt przyjaznym tonem indagował ekspedientki kilku warszawskich sklepów, dlaczego to nie umieściły wywieszek, informujących o złych skutkach spożywania alkoholu, w jednym przypadku także — dlaczego nie została usunięta reklama alkoholu. Dla ścisłości dodajmy, że była to kolorowa, podświetlana plansza, zachęcająca do picia wina „Porto". Panienka tłumaczyła, że po prostu reklama wydała się im ładna, więc ją pozostawiły. Argument moim zdaniem słuszny i wystarczający, zwłaszcza, gdy popatrzymy na półki, zapełnione paskudną „Bałtycką", opatrzoną jeszcze paskudniejszą, zastępczą etykietą. Poza tym — gdyby to właśnie wino „Porto" lub inne, oglądane wyłącznie na planszach w niektórych sklepach, były powszechnie pite w naszym kraju, prawdopodobnie nie istniałaby konieczność wydawania specjalnej ustawy.

Nie w tym bowiem rzecz — że raz jeszcze przypomnę znane stwierdzenie — że pijemy za dużo, lecz że pijemy w sposób niewłaściwy. Przy czym nie odnosi się to do ludzi uzależnionych od alkoholu — ci bowiem są wszędzie tacy sami, bez względu na obowiązujący w danym kraju model spożycia alkoholu, lecz do tzw. normalnej części społeczeństwa. Owa „normalność" to w naszym przypadku picie niezbyt często, ale za to do skutku, czyli do kompletnego upojenia, wyłącznie wódki. I moim zdaniem — nie wiem, czy jest ono zgodne z intencją ustawodawcy — wszystkie wysiłki powinny kierować się na zmianę takiego właśnie stylu picia. Zapewne nie jest to łatwe, wymaga i czasu, i cierpliwości, i mądrego działania. Tymczasem — we wszystkich oficjalnych wystąpieniach przedstawicieli różnych instytucji i organizacji, a nawet wypowiedziach osób prywatnych (w każdym razie tych, które upowszechnia się za pośrednictwem środków masowego przekazu) — słychać nawoływanie do abstynencji, do wychowania w tym duchu młodego pokolenia, a także przekonania do całkowitego zerwania z piciem ludzi dorosłych, którzy od lat co najmniej kilkunastu mają ugruntowany pogląd na tę sprawę.

Tego typu działania nie tylko że nie przyniosą efektów oczekiwanych, ale wywołując naturalną reakcję sprzeciwu, mogą przynieść całkiem odwrotne, bez względu na to, jak doskonale będą przepisy ustawy. Może więc zamiast zdejmować kolorowe reklamy i umieszczać w sklepach wywieszki „nie pij — alkohol szkodzi" lub tym podobne, lepiej byłoby zastąpić je napisem „nie trzymaj pół litra na niedzielę, wypij codziennie po kieliszku"? Gdy nauczymy się pić inaczej — choć niekoniecznie mniej — przyjdzie pora na następny, trudniejszy etap: propagandę całkowitej abstynencji. Do tego ostatecznego celu trzeba jednak dochodzić stopniowo, od razu z pewnością nie uda się go osiągnąć, więc i próbować nie ma sensu.

AGATA

3

Nagle zastępstwo

Miss Polonia

Nie stać nas na wiele rzeczy: na zniesienie reglamentacji, na utrzymywanie niepracujących, na turystykę zagraniczną, na benzynę, na przyzwoite funkcjonowanie komunikacji i łączności itd itp. Stać nas natomiast na marnotrawstwo, stać nas na ekspedycję radiestetów w rejon trójkąta bermudzkiego, stać na rzucanie butelkami w zagranicznych sędziów piłkarskich, na 130 tysięcy narkomanów i na wiele innych jeszcze rzeczy równie pięknych i pożytecznych.

Okazało się ostatnio, że stać nas również na miss Polonię, która już niebawem zostanie wyłoniona w demokratycznych, pięcioprzymiotnikowych wyborach spośród kilkunastu miss okręgowych, w tym łódzkiej także.

Już niebawem, bo 6 czerwca stęskniona za monarchią Łódź pozna swoją królową!

Dzięki „Expressowi Ilustrowanemu" łodzianie wiedzą, jaka będzie ich miss: będzie miła, zgrabna, dobrze zbudowana, inteligentna (Kto i jak to będzie sprawdzał? Komisja egzaminacyjna złożona z członków rzeczywistych PAN czy też nieczuły na wdzięki niewieście komputer?).

Będzie nasza królowa (oby nam panowała jak najdłużej!) panną bezdzietną (Dostarczy świadectwo bezdzietności? Może już lepiej po prostu świadectwo od ginekologa?).

Wreszcie będzie narodowości i obywatelstwa polskiego! I słusznie! Nie będzie cudzoziemka pluła nam w twarz i dzieci nam germaniła...

Ponadto nasza miss nie będzie swoim zachowaniem nastręczała najmniejszych kłopotów organizatorom wyborów!

Ten warunek wydaje się dziwny nieco. Co się za tym kryje? Czy kandydatki na miss złożą przysięgę na wzór dawnej przysięgi małżeńskiej: „...ślubuję wierność i posłuszeństwo bez granic" i w związku z tym poddadzą się nawet najwymyślniejszym żądaniom i zachciankom dżentelmenów z Estrady Łódzkiej?

Myślę, że za nami już czasy jednolitej listy wyborczej i wybory miss będą prawdziwie demokratyczne. W prawdziwie demokratycznych wyborach jest miejsce na agitację wyborczą i popieranie poszczególnych kandydatów przez różne ugrupowania i lobbies. Wyobrażam sobie to tak mniej więcej:

Grupa nacisku pt. „Grunwald" forsować będzie dziewczynę płowowłosą i błękitnooką, która będzie odpowiadała kryteriom polskiej narodowości i przynależności państwowej. Jeśli wygra konkurs lobby „Grunwald" zapewnia jej rolę Wandy co nie chciała Niemca w najnowszym filmie reżysera Poręby.

Szansę na poparcie środowisk zbliżonych do episkopatu oraz szefa PRON-u pana Dobraczyńskiego ma skromna panienka, niekoniecznie zresztą ładna, która stanowczo odmówi wystąpienia w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym. Wprawdzie zostanie przez jury wyeliminowana, ale grupa posłów katolickich złoży w tej sprawie protest na ręce marszałka sejmu.

Firmy polonijne poprą — w trosce o własne interesy — dziewczynę, która zgodzi się na umieszczenie sobie na majtkach napisów w rodzaju „Inter fragrances", „Austrotex" itp. Wydatki, jakie będzie miała grupa firm polonijnych zostaną zwolnione od podatku.

Kandydatka popierana przez ugodowe skrzydło Ligi Kobiet Polskich również nie będzie odpowiadała warunkom konkursu — Liga stanowczo zażąda, żeby nie faworyzować bezdzietnych podlotków. Kandydatka Ligi będzie kobietą wielodzietną, pracującą — może być ze wsi. Może być również dzielną matką wychowującą swoje pociechy samotnie. Radykalne skrzydło Ligi zbojkotuje konkurs, jako imprezę uwłaczającą godności kobiecej, być może również złoży protest w sejmie.

Można się spodziewać, że swoje kandydatury wspierać będą redakcje co poczytniejszych pism. Kandydatkę „Tu i teraz" oraz redaktora Koźniewskiego osobiście, wyobrażam sobie jako harcereczkę w szarym mundurku, rezolutną, znającą na pamięć nie tylko wierszyk o Polaku małym, ale nawet pełny tekst Mazurka Dąbrowskiego, Roty, Bogurodzicy i „Boże coś Polskę". Jako kandydatura absolutnie prorządowa może się harcerka spodziewać poparcia jeśli nie zaraz całej rady ministrów, to przynajmniej ministra Urbana. Natomiast niektórzy felietoniści jak np. Jan Rem lub Klakson będą sobie zarówno z harcerki, jak i całej imprezy dworować... Być może w tej sprawie również wpłynie protest do laski marszałkowskiej...

Wreszcie kandydatura podziemia. Nie wystąpi ona oficjalnie — jakżeby opozycja miała uczestniczyć w legalnej imprezie! Wystąpi na zakonspirowanym pokazie, następnie z obydwoma rączkami wdzięcznie rozcapierzonymi w kształt litery „V" poprowadzi demonstrację.

Ostatnie lobby to rozwijający się żywiołowo ruch naturystów. Żeby zaprotestować przeciw pornograficzno-rozrywkowemu charakterowi konkursu na miss Polonię kandydatka naturystów wystąpi nie tylko w stroju organizacyjnym, ale na dodatek w towarzystwie tak samo umundurowanego pana. Jak wiadomo, do Towarzystwa Naturystycznego przyjmuje się zapisy wyłącznie parami, parami także i tylko parami można przychodzić do sauny naturystów.

Występ naturystów do tego stopnia może wzburzyć pozostałe lobbies, że w wyniku ogólnej awantury konkurs nie będzie mógł być sfinalizowany. A szkoda byłaby niesłychana dla kultury narodowej i idei porozumienia narodowego...

ANDRZEJ KAROL

4

Sport

Walczyli dzielnie, ale...

Na długo jeszcze przed mistrzostwami Europy w Warnie rozdano w Słupsku dwie nominacje olimpijskie. Trener polskiej kadry bokserskiej Czesław Ptak i lekarz tej kadry mają już zagwarantowany wyjazd do Los Angeles na kolejną olimpiadę ery nowożytnej. Należałoby im więc złożyć gratulacje, gdyby nie owo „ale" uwidocznione w tytule.

Polski boks dawno ma za sobą czasy chwały. Przeżywa ciężki kryzys. Działacze i trener sztucznie podtrzymują mit o bokserskiej mocarstwowości Polski. Nawet do Warny pojechała ekipa o zewnętrznych znamionach mocarstwowości. Ekipę wystawiliśmy silną, na ilość.

W Słupsku miało być pięknie, miał to być przedsmak tego, co nasi mocarstwowi bokserzy pokażą w Warnie. Publiczność miała zmęczyć się od oklasków, a zmęczyła się od gwizdania. W tymże Słupsku lekarz kadry, ten, który otrzymał olimpijską nominację, zgodził się na to, aby Andrzej Danielak stanął do walki z chorą ręką. Co więcej, z tą chorą ręką miał jechać do Komarna na turniej międzynarodowy. Na szczęście się połapano i zmieniono decyzję. Również w Słupsku pozwolono walczyć bez kasków ochronnych, chociaż było wiadomo, że część walczących tam bokserów pojedzie do Warny, a więc trzeba dbać o całość ich głów. I stało się. Pawłowi Skrzeczowi rozbito łuk brwiowy i trzeba było założyć 5 szwów.

W Słupsku miało być pięknie. Kibice mieli tak bić brawo, że aż im miały ręce od tego spuchnąć. Aliści spuchły im wargi, od gwizdania. Miało być mocarstwo, a było nędznie. Polski boks miał pokazać na co go stać, a pokazał swoje braki i słabości. Szydło wyszło z worka.

Do Warny pojechali debiutanci — aż 7 na 11 wszystkich zawodników. Może być i tak, jeśli ci debiutanci prezentują wysokie umiejętności, dobrą formę i muszą wreszcie pokazać się na zagranicznych ringach. Co prawda byłoby lepiej, gdyby akurat nie walki w mistrzostwach Europy były ich międzynarodowym debiutem, ale różnie może się zdarzyć.

Niestety — tym razem — była to konieczność, a nie zamysł. Do Warny pojechał na przykład Edward Maj. Do Słupska jechał wyłącznie jako sparingpartner. Kandydatem do wyjazdu do Warny był Adam Kozłowski. Ale z ringu Edward Maj zszedł jako triumfator. I do Warny pojechał. Po co? Ano skoro zdołał w Słupsku znokautować Adama Kozłowskiego, to może uda się to samo w Warnie. Jest uczniem Zbigniewa Pietrzykowskiego. A temu takie sztuczki się często udawały. Jest jednak pewna różnica między mistrzem a uczniem. Mistrz potrafił jeszcze zwyciężać na punkty. Edward Maj tego nie potrafi. I trener — Czesław Ptak dobrze o tym wiedział. Po co więc ta mistyfikacja? Edward Maj w Warnie sromotnie przegrał. W ogóle w Warnie — jeszcze przed zakończeniem mistrzostw — ponieśliśmy sromotną klęskę. Jakoś nie mamy szczęścia do tego miasta.

I w tym miejscu rodzi się moja druga wątpliwość. Jeśli nie umiałabym powiedzieć, czy lekarz słusznie otrzymał już teraz nominację olimpijską, to tym bardziej nie potrafię powiedzieć, czy już ją słusznie otrzymał Czesław Ptak. Nie mam zamiaru w ogóle poddawać w wątpliwość jego kwalifikacji. Wiem, że kryzys w sporcie bierze się z różnych przyczyn. Ale sądzę, że byłoby lepiej, gdyby taką nominację obaj panowie od boksu otrzymali po mistrzostwach Europy, albo — w wyniku tej klęski — tych nominacji nie otrzymali. A teraz mamy taką sytuację: — trener i lekarz mają już zagwarantowany wyjazd do Los Angeles, ekipy nie ma, a w Warnie nie było najlepiej... Może zatem powstać takie podejrzenie, że im już na niczym nie będzie zależało. Na olimpiadę pojadą. Z jaką ekipą? Czy to ma już jakieś większe znaczenie? Czy więc nie popełniono błędu z tymi nominacjami?

Zaczął się 36 Wyścig Pokoju. Chcielibyśmy wreszcie, aby nasi odegrali w nim jakąś rolę. W Poznaniu Andrzej Serediuk pokazał piękną ucieczkę w dawnym dobrym stylu, choć na mecie zawiodły go siły i był tylko drugi. W ogóle — co ciągle się powtarza — wystartował chory. Czy lekarze nie potrafią lepiej troszczyć się o kadrę?

Póki co mamy tylko nadzieję. Tym bardziej, że w roli trenera debiutuje Stanisław Szozda. Kilka lat temu zadebiutował w roli komentatora telewizyjnego i to bardzo udanie. Może i ten debiut będzie równie udany. Oby!!!

Jak do tej pory — dziś właśnie kolarze startują na pierwszym etapie w NRD — mamy tylko nadzieję. Wyraźnie widać to w gazetowych tytułach: „Chociaż wygrali inni, biało-czerwoni nie zawiedli" — to „Express Wieczorny" po finale w Olsztynie. „Polacy walczyli dzielnie, ale zwyciężył U. Raab" — „Express Ilustrowany" też po etapie do Olsztyna. Przypomina mi to stary dowcip z dawnych lat: — jest dobrze, ale nie beznadziejnie. Jeszcze maluczko, a ktoś napisze, że pojawiło się „światełko w tunelu", czyli zaświtała nam nadzieja, że może doczekamy się zwycięstwa w 36 Wyścigu Pokoju, na które wszyscy bardzo czekają. A może nawet drużyna odegra jakąś znaczącą rolę? Póki co walczą dzielnie, ale wygrywają inni.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-89 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 23, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch". Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103, Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1354. L-3

Widziałem szczęśliwych cyrkowców

Dokończenie ze strony 1

— Chyba rzeczywiście robiłam w cyrku wszystko lub prawie wszystko. Były i rowery, i żonglerka, potrójny trapez i „kauczuk" czyli człowiek-guma, był batut, z „deski" też wybijałam. Teraz ta iluzja, ale tresurę też prowadziłam — m.in. psów, bokserów.

Siedzimy wygodnie w cyrkowym wozie, w telewizorze jakiś film, na kuchence podgrzewa się mleko dla najmłodszej w rodzinie Niemeczków — Patrycji, która dwa tygodnie temu przyszła na świat w pabianickim szpitalu. Nie bardzo jeszcze mogę się zorientować kto jest kto. Pani Wiesława cierpliwie tłumaczy:

— To córki, Dagmary, ale właściwie będzie nosić nazwisko Jaros. Tata, Marek, to ten młodzian, co tak fruwa w powietrzu w „grach ikaryjskich". Druga córka, Gizela, prowadzi tresurę psów i jeździ z cyrkiem „As". A to mój młodszy syn — Ewaryst...

Do wozu zagląda wysoki blondyn z bujną brodą:

— Mama, za chwilę wychodzimy na galę, szykuj się...

Umawiamy się za pięć minut, wszyscy poza mamą małej Patrycji lecą po galowe uniformy, a za naszymi plecami orkiestra różnie już pierwsze takty cyrkowego preludium. Wychodzę z wozu i ja. Gorąco. Spod podwiniętych do góry zwojów brezentu widać piety tych w najwyższych rzędach. Znów komplet widzów. Biletów zabrakło zresztą na długo przed wyznaczoną godziną rozpoczęcia programu.

— Witam państwa serdecznie w imieniu całego zespołu cyrku „Kometa" — rozpoznaję głos dyrektora Kozłowskiego.

Od bramy pędzą jeszcze jacyś spóźnialscy. Przy bocznym wejściu do namiotu dobre miejsca zajęła załoga strażackiego, bojowego pojazdu. Dyżur dyżurem, ale program trzeba obejrzeć.

Pierwszy wraca **MAREK JAROS.** Z ulgą ściąga wysoką futrzaną czapkę, rozpina służbowy, „huzarski" mundur.

— To tylko na galę tak się cudacznie stroję — tłumaczy — **w swoim normalnym kostiumie występuje pod koniec pierwszej części, więc mamy trochę czasu.**

Ten szczupły, niewysoki blondynek na scenie z niezwykłą zręcznością rzeczywiście wprost fruwa w powietrzu. Wyrzucany w górę ze specjalnej deski — „huśtawki" kręci podwójne salta, ze śrubą, bez, w tył, w przód, lądując pewnie na barkach partnerów.

— Panie Marku, przepraszam, ile pan ma lat?

— Dwadzieścia dwa.

— Dawno w cyrku?

— Sześć lat.

— Wykręca pan te podwójne salta bardzo zręcznie, choć raz czy dwa razy spada na ziemię wśród okrzyków przerażonej publiki.

— No cóż, raz trzeba się przyznać: to są zaplanowane historie. Większy jest efekt, gdy po dwóch nieudanych próbach wychodzi nam piramida i salto pewnie wykręcę. Potrójne też robię, ale wybijający mnie na dole już nie bardzo dają radę, bo przez zimę przytyłem chyba z osiem kilogramów.

— A ile pan powinien do tego potrójnego ważyć?

— No, góra gdzieś 58-60, a ja to już sporo przekroczyłem.

— Pewnie, jak was znam, obmyśla już pan jakiś numer dla córki?

— Trochę jest jeszcze czasu, na razie to ona głównie głos ćwiczy. Z żoną chcemy teraz taki wspólny program robić — będzie to się nazywało „beczki". Wie pan, takich batutów kilka w kształcie beczki i przelatuje się w powietrzu z jednego na drugi. Jak by nam to ładnie grało, to się może i małą później włączy. Zdzisiek (starszy syn pani Wiesławy) **jak miał cztery lata z powodzeniem już akrobację ćwiczył...**

Orkiestra zmienia rytm. Jakieś powolne, saksofonowe trele, przerywane czasem głośnym „aaa" publiki. Albo ktoś spadł, albo — o mały włos... Jaros przerwał rozmowę. Za parę minut jego występ, a trzeba się jeszcze przebrać, rozgrzać mięśnie.

Cóż, ładuję się znów do wozu najstarszej z rodu Niemeczków. Obok na kanapie przysiadła czarnooka piękność. Może trochę makijaż za mocny, wystarczyłyby na trzy takie buzie, ale cyrk ma swoje prawa. Poznaję, to ona leżała „uśpiona" na tych nieszczęsnych mieczach.

— Pani Wiesławo, jaki był przez te lata pani najtrudniejszy, a jednocześnie najefektowniejszy numer?

— Zdecydowanie sztrabaty. Wie pan, to takie ćwiczenia na górze, na ramkach, trzymałam się zębami na specjalnym ustniku i jeszcze dwie partnerki pod sobą. Bardzo ciężki, siłowy numer. Nazywano mnie wtedy „królowa sztrabatów". I faktycznie, nikt tego do dziś u nas w cyrkach nie robi. Raz, pamiętam, w Mongolii byliśmy, to widziałam jedna Rosjanka to wykonała.

— Spadła pani kiedyś z tych no, „sztrabatów"?

— A mało to razy. Kiedyś, już nie pamiętam roku, ale oboje z mężem mieliśmy fatalny sezon. Ja na początku sezonu, na próbie, spadłam z ramki. Obie nogi miałam połamane, trzy miesiące w gipsie spędziłam. A parę miesięcy później pękła pętla, na której ćwiczył mąż i w czasie występu grzmotnął na plecy z 6 czy 7 metrów.

— Pani Wiesławo, przepraszam za niedyskrecję, ale ile to już lat pod cyrkowym szapito?

— Nie przesadzajmy, nie ma się czego wstydzić: ponad pięćdziesiąt, a zaczęłam występować, gdy miałam 6 lat...

— I co was w tym urzeka, ciągnie w świat, co sprawia, że nazywają was, nie bez odrobiny zawiści, „białymi Cyganami"?

— To trzeba mieć we krwi, to jest jak narkotyk. Próbował pan kiedyś rzucić palenie?

— Parę razy, ale bez większych efektów...

— Ja nie próbuję nawet, wiem że to silniejsze od każdego z nas. Kochany przecież wszyscy mamy domy, tam spędzamy zimę. Te miesiące to prawdziwa udręka. Gdy w lutym, marcu słońce zaczyna przygrzewać — miejsca sobie znaleźć nie mogę, już mnie ciągnie w świat, faktycznie jak Cyganie jesteśmy...

— Dla tych braw?

— Nie przekona mnie pan ani nikogo z naszych, że to nie jest urzekające widowisko, jest w tym coś — ja wiem — z misterium. Światła, orkiestra, tysiące twarzy wokół, niepowtarzalny nastrój, a mnie wychodzi efektowny numer. To piękne, nie do wytłumaczenia, jak dokładnie dokręcone salto. Uznanie w oczach ludzi, aplauz, nieraz wręcz podziw — nic takiej satysfakcji nie zastąpi.

— A może dla prozaicznych, ale niestety, niezbędnych pieniędzy? Mówią, że nieźle zarabiacie?

— Niech pan nie żartuje. Przecież my mamy normalne miesięczne pensje. Zimą — „gołe", bez żadnych dodatków. Wie pan, ile tego jest? Ja, z takim stażem, mam 8 tysięcy pensji. Latem dochodzą diety, wysługa lat, tzw. rozłąkowe. No to sięgnę maksymalnie 16 tysięcy...

— Ale wyjeżdżacie za granicę...

— Owszem, niektórzy wyjeżdżają i to cała pociecha. Ale trzeba mieć świetny numer, dużo szczęścia i — jeszcze coś. Ot, choćby Marek ze swoimi kompanami z tych gier ikaryjskich, dobry numer, na przeglądzie kwalifikacyjnym wypadli efektownie, mieli w tym sezonie wyjechać do Szwajcarii do cyrku „Alladin". Lista już wisiała w dyrekcji, ale pojechał ktoś inny, ponoć z numerem, który wstyd po wsiach pokazywać.

Do wozu wchodzi znany mi już brodaty blondyn. Przyniósł plik zdjęć, plakatów, pożółkłych ze starości papierów. **Ewaryst Niemeczek** jest antypodystą. Leżąc w czymś, co przypomina fotel ginekologiczny, z niewiarygodną zręcznością żongluje różnymi przedmiotami z dwumetrowej wielkości butelką na czele. Żongluje wyłącznie nogami. Ale prawdziwą pasją pana Ewka jest tresura chartów. Oglądamy zdjęcia taty Niemeczka, dziadka Niemeczka, pradziadka Antona, prywatnie i w czasie występów. Tłumaczą mi kto był „latającem", a kto „łapaczem", co to blansz i sztambert. Cicho jak duch wsuwa się do wozu piękny chart rosyjski.

— Niech pan spojrzy — cmoka w stronę psa treser-antypodysta — **mówią, że w cyrku męczą zwierzęta, że są niedokarmione, wynędzniałe. A jaką ten ma sierść, jakie zęby, a mam ich siedemnaście, afgańskie też. Dopiero ćwiczymy parę tygodni razem, dlatego w czasie występów jeszcze wiele nie mogę pokazać, ale to bardzo inteligentne psy.**

Znów zmiana rytmu za naszymi plecami. Wybuchy śmiechu — to dwóch klownów bawi dwa i pół tysiąca ludzi scenami z filmu „Wejście smoka" Ewaryst z żoną wychodzą — za parę minut konferansjer zapowie jego numer.

Idziemy z panią Wiesławą na małą przechadzkę między wozami. Słucham opowieści o przygotowaniach do nowego, iluzjonistycznego numeru Niemeczków, który mają zastrzeżony tylko dla siebie, podobnie jak tresurę chartów. Potrzebny jest tylko, bagatela, młody gepard, taki ze trzy miesiące, no ale dyrekcja na razie nie ma 800 dolarów na kota, który ponoć jest tak łagodny, że jak syjamski będzie pod stołem leżał.

Nie zdradzimy tajemnicy, jeśli już dziś opiszemy sam występ. Otóż najpierw publika ogląda normalną klatkę, potem zamykamy doń dziewczynę. Klatkę zasłaniamy na sekundę zwykłym parawanem, odsłaniamy: w klatce siedzi gepard, a dziewczyna schodzi z najwyższego piętra widowni. Proste, prawda?

— Bardzo ładnie ci dziś szło, Gizela — woła pan Niemeczek w stronę wychodzącej z sąsiedniego wozu blondynki w kusym kubraczku do konnej jazdy.

— Była to jedna z najlepszych nie tylko w kraju akrobatek na palocie. Wie pan, to taki fruwający trapez. Bodajże w sześćdziesiątym ósmym w czasie występu runęła z palotu: zerwała się cała konstrukcja wraz z siatką zabezpieczającą. Chyba ze dwa lata leżała dziewczyna w gipsie. Ale z cyrku nie zrezygnowała, to przecież niemożliwe. Dziś jeździ na koniach, wie pan — woltyżerka. I też jest już babcią.

Żegnam się z Niemeczkami. Przed nimi jeszcze występy w drugiej części spektaklu. A potem trzeba się powoli pakować, bo dziś w nocy część taboru rusza w dalszą drogę, do sąsiedniego miasteczka odległego o ponad 30 kilometrów. Przez całą noc i ranek dziesięć traktorów przerzuci 90 wozów na nowy plac. W parę godzin dwudziestu ludzi obsługi technicznej pod wodzą budowniczego cyrku — pana **MARIANA BRUDERA** podciągnie w górę maszty, szapito, naciągnie runt, postawi ławki, ogrodzenie. I wieczorem — pierwszy program.

A na razie szykują ciągniki do wyrywania ciężkich floków — blisko półtorametrowych, stalowych bolców trzymających maszty i całą konstrukcję. Namiot trzeba postawić szybko. Dziesiątki metrów kwadratowych brezentu reaguje na wiatr lepiej niż „Dar Pomorza".

I w drogę. I dalej. Do kolejnego miasteczka. Gdzie już na nich czekają. A tabuny dzieciaków pędzą przed pierwszym wozem z radosnym pianiem: Cyrk przyjechał!!! Biali Cyganie...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

PS. Z mieczami *się nie* udało, ale *zdradźmy* inny cyrkowy *„patent"*. Faceta pakuje się do worka, wiąże i podciąga pod kopułę. A stamtąd puszcza „luźno" w dół. Krzyk — a worek jest pusty. Gość zaś siedzi wśród publiczności. Otóż drodzy moi: ponieważ facet się szamocze, broni, z pomocą przychodzi wykonującemu numer czterech pomagierów w uniformach, którzy dyskretnie podają temu z worka taką samą marynareczkę. Ten zręcznie się przebiera, odbiega z innymi a wór jedzie pusty. Ma on rzecz jasna specjalną konstrukcję: widać ślady stóp i szamoczący się wewnątrz kształt. Ot, perfekcja w wykonaniu. Jak to w cyrku.

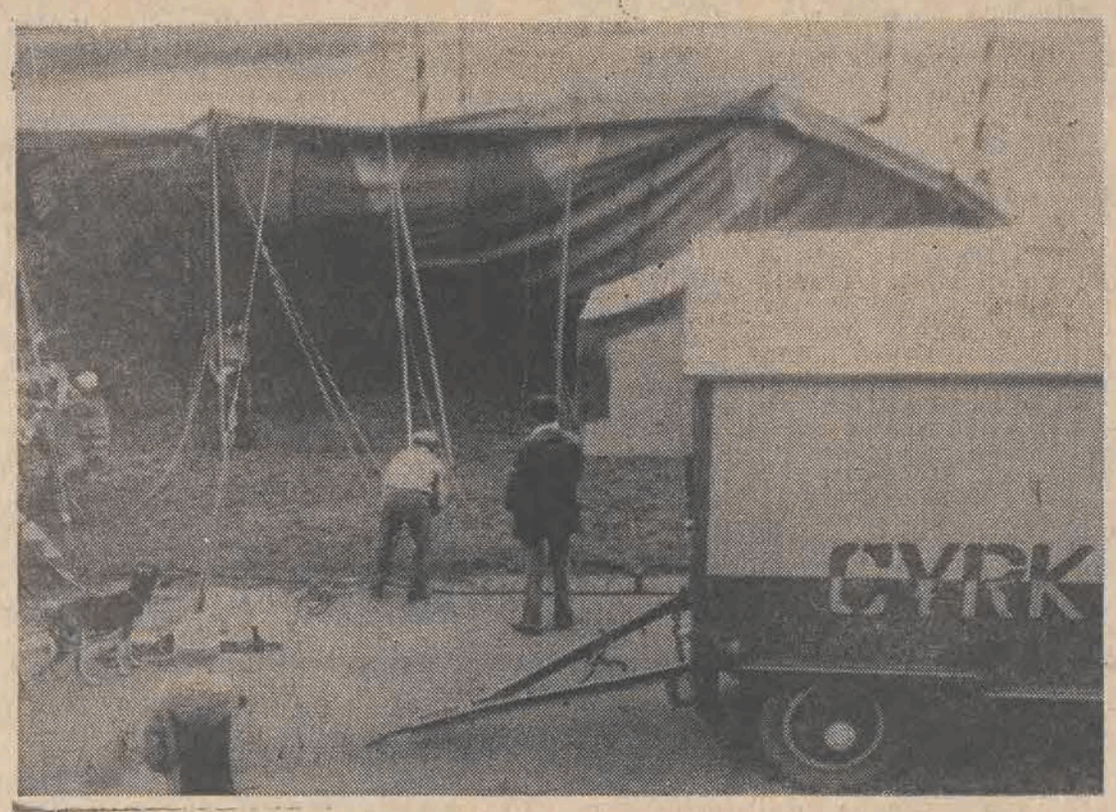

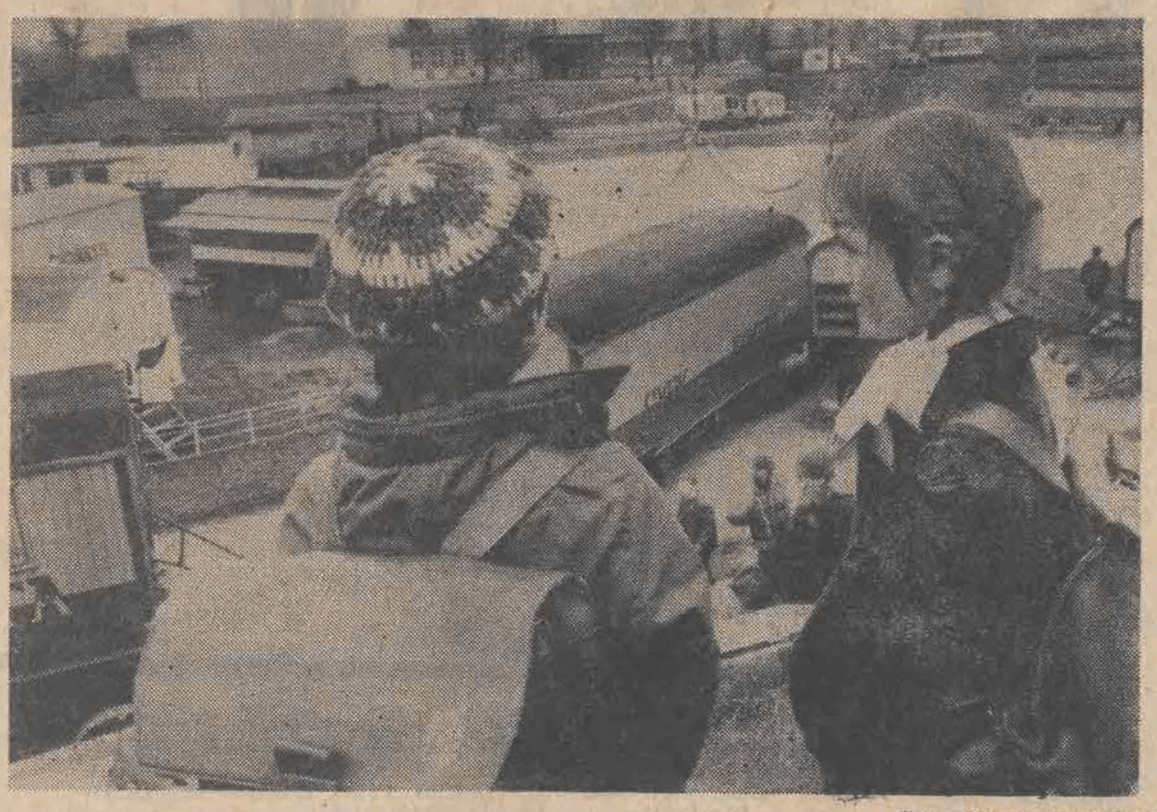

Foto: Miroslaw Zajdler